

Robert Louis Stevenson

Doktor Jekyll i Pan Hyde

tłum. Tadeusz Jan Dehnel

Posłowie
Anna Alochno - Janas

E-book
Subiektywnego Magazynu Literackiego - BLACK & WHITE
<http://blackandwhite.3neo.net>

Sosnowiec 2005r.

Tajemnicze drzwi

Uśmiech nie rozjaśniał nigdy posępnej twarzy adwokata Uttersona. Był to człowiek wysoki, chudy, szary i pochmurny, chłodny, oszczędny w słowach i uczuciach, wiecznie zatroskany – lecz mimo wszystko ujmujący. Po dobrym obiedzie w gronie przyjaciół, kiedy wino przypadło mu do gustu, z jego oczu wyzierało coś głęboko ludzkiego, co nigdy wprawdzie nie znajdowało upustu w słowach, lecz promieniowało nie tylko z twarzy, ale również (i to nieporównanie wymowniej) z postępku całego życia.

Pan Utterson siebie traktował surowo. W samotności pijał dzin, by okiełznać apetyt na dobre wino, i chociaż lubił przedstawienia, nie przestąpił progu teatru od lat dwudziestu. Za to dla innych był pobłażliwy i tolerancyjny. Czasami zastanawiał się niemal z zazdrością nad rozmachem niespokojnych duchów, które potrafią zdobyć się na złe uczynki, w najgorszych zaś przypadkach wolał wyciągnąć pomocną rękę niż ganić. „Przychyłam się do odstępstwa Kaina – zwykł mawiać beznamyślnie. - W nieco podobny sposób posłałem rodzonego brata do wszystkich diabłów”. Dzięki takim poglądom pan Utterson często bywał ostatnim przyzwyczajonym wykołajeńców, on też do ostatka wywierał dobry wpływ na ich życie, i pokąd go odwiedzali, nie dawał im odczuć zmiany w swoim zachowaniu. Nie sprawiało mu to trudności, gdyż był co najmniej powściągliwy i nawet wobec przyjaciół zachowywał dyskretną poczciwość. Ludzi skromnych cechuje na ogół to, że grono bliskich przyjmują gotowe z rąk losu. Tak właśnie postępował pan Utterson. Przyjaźnił się z krewniakami lub bardzo dawnymi znajomymi, bo sympatie jego nie były kapryśne i jak bluszcz rosły z biegiem czasu. Stąd niewątpliwie więzy łączące pana Uttersona z Ryszardem Enfieldem, dalekim jego kuzynem i światowcem znanym w Londynie. Dla niejednego twardym orzechem do zgryzienia było pytanie, co co dwaj widzą w sobie wzajemnie i jakie mogą mieć wspólne zainteresowania. Ci co spotykali ich podczas niedzielnych przechadzek, mówili, że przyjaciele milczą uparcie, mają bardzo znudzone miny i z wyraźną ulgą witają jakiegokolwiek znajomego. Mimo to wysoce sobie cenili te spacer, uważali je za najmiłsze chwile tygodnia i bez żalu wyrzekali się dla nich nie tylko rozrywek, lecz również ważnych spraw zawodowych.

Podczas jednej z takich wycieczek panowie Utterson i Enfield trafili na boczną uliczkę w ruchliwej dzielnicy miasta. Uliczka była wąska, krótka i – jak to się mówi – spokojna, lecz w dniu powszednie kwitł tam ożywiony handel. Mieszkańcom jej powodziło się dobrze i wszyscy zapewne mieli nadzieję, że będzie jeszcze lepiej. Nadmiar zysków objawiał się w kokieterijnym wyglądzie ich sklepów, które ciągnąc się wzdłuż chodników, zapraszały przechodniów niby stojące szeregiem uśmiechnięte przekupki. W niedzielę uliczka kryła swe najbardziej zalotne powaby i prawie się wyludniała, lecz nawet wówczas lśniła na tle obskurnego sąsiedztwa niczym ognisko w ciemnym borze. Świeżo malowane żaluzje, połyskliwy mosiądz i nieskazitelna czystość zwracały uwagę i radowały wzrok nielicznych przechodniów.

Tuż za rogiem, po lewej ręce idąc ku wschodowi, było wejście w ciasny zaułek, a rząd sklepów przerywała wystająca fasada ponurego domostwa. Ten piętrowy budynek bez okien miał tylko drzwi na parterze, które podobnie jak widoczna wyżej ślepa, bezbarwna ściana, świadczyły o długoletnim, żalonym zaniedbaniu. Drzwi nie opatrzone dzwonkiem ani kołatką były odrapane i brudne. Włóczędzy kryli się w ich wnęce i o chropowatą powierzchnię pocierali zapałki, dzieci bawiły się w sklep na stopniach, a uczniacy próbowali scyzoryków na futrynie. Od wielu jednak lat nie zjawiał się nikt, by przepędzić nieproszonych gości lub naprawić poczynione szkody.

Dwaj przyjaciele szli po przeciwnej stronie uliczki, lecz kiedy zrównali się z opisanym domem, pan Enfield wskazał laską w jego kierunku.

- Zwróciłeś kiedyś uwagę na te drzwi? - zapytał, a gdy adwokat twierdząco skinął głową, dodał: - Przypominają mi bardzo dziwną historię.

— Czyżby? — powiedział pan Utterson lekko zmienionym głosem. — Jaką mianowicie?

— Chcesz, to posłuchaj — zaczął Ryszard Enfield. — Raz w ciemną zimową noc — musiałem być w jakimś miejscu na końcu świata — wracałem do domu o trzeciej nad ranem. Droga wiodła przez dzielnicę, gdzie, słowo daję, nie było absolutnie nic prócz latarni. Ulica po ulicy pogrążone we śnie, a wszystkie oświetlone jak na uroczysty pochód i puste niczym kościół o północy. Wreszcie poczułem się nieswojo i bliski byłam stanu, kiedy to człowiek bacznie nasłuchuje i zaczyna tęsknić do widoku policjanta. Nagle zobaczyłem dwie ludzkie postacie. Krępy mężczyzna nadchodził szybkim, donośnym krokiem, a ośmio- lub dziesięcioletnia dziewczynka, biegnąc co sił, zbliżała się przecznicą. Na skrzyżowaniu nastąpiło zderzenie i wtedy wydarzyła się potworna historia. Mężczyzna z zimną krwią stratował dziecko i nie obejrzał się nawet, chociaż leżało na chodniku i zawodziło żałośnie. W opowiadaniu nie wygląda to groźnie, ale widok był doprawdy straszliwy, ów człowiek postąpił nie jak istota ludzka, lecz jak Dżagarnat* z piekła rodem. Cóż, skoczyłem za nim i po krótkiej pogoni ucapiłem za kołnierz, by wrócić z ptaszkiem do wzburzonej gromadki, która tymczasem zebrała się wokół rozszlochanej dziewczynki. Był zupełnie spokojny i nie próbował stawiać oporu, ale spojrzał na mnie tak paskudnie, że przeszły mnie ciarki. Od tego spojrzenia spocilem się bardziej niż od biegu. Przy małej stała jej rodzina, niebawem zaś nadszedł lekarz, po którego ją z domu wysłano. Według opinii eskulapa dziecku nie stało się nic złego, najadło się tylko strachu. Należałoby sądzić, że wszystko się na tym skończy, lecz dziwna okoliczność zwróciła moją uwagę. Widzisz, od pierwszego rzutu oka znienawidziłem swojego jeńca. Rodzina poturbowanej darzyła go podobnym uczuciem, co zresztą było zupełnie naturalne. Ale zdumiał mnie lekarz — zwyczajny, pozbawiony wyrazu, zasuszony jegomość w nieokreślonym wieku, mówiący edynburskim akcentem i równie skłonny do wzruszeń jak szkocka kobza. Wyobraź sobie, że i on zachowywał się jak my wszyscy. Ilekroć spojrzał na przedmiot ogólnej niechęci, białiał i siniał z pragnienia, by go zabić. Dobrze rozumiałem, co się w nim dzieje (podobnie jak on wiedział, co dzieje się we mnie), ponieważ jednak o zabójstwie nie mogło być mowy, wymyśliliśmy coś innego. Oznajmiliśmy barbarzyńcy, że w związku z tym zajściem narobimy hałasu i nie damy za wygraną, póki jego nazwisko nie zacznie cuchnąć z jednego krańca Londynu na drugi; że postaramy się, by stracił kredyt i przyjaciół, jeżeli ich w ogóle posiada. Przez cały czas nacieraliśmy z zapalem i brawurą, ale musieliśmy odpędzać od ofiary kobiety rozjuszone niczym harpie. Jak żyję, nie widziałem kręgu twarzy ziejących równą nienawiścią. A pośrodku stał ten jegomość, milczący, chłodny i chociaż bał się — czego nie potrafił ukryć — znosił tę scenę z pogardą godną szatana. „Jeżeli panowie chcą zrobić skandal — powiedział — nic” nie poradzę. Wolałbym jednak uniknąć awantury. Proszę wymienić sumę”. Zażądaliśmy stu funtów dla rodziców uszkodzonego dziecka.

Jegomość wił się niczym piskorz i próbował targów, lecz gromada przeciwników miała groźną postawę, wkrótce więc ubito interes. Powstała teraz kwestia wygzekwowania pieniędzy. Jak myślisz? Dokąd nas ten gbur zaprowadził? Otóż pod drzwi, od których zaczęła się nasza rozmowa! Wydobył z kieszeni klucz, wszedł do domu i wrócił po chwili niosąc dziesięć złotych suwerenów oraz czek na Dom Bankowy Couttsa, płatny na okaziciela, a podpisany nazwiskiem, którego nie mogę wymienić, chociaż ono właśnie dodaje smaku całej historii. Rozumiesz, to nazwisko dosyć głośne i często spotykane w druku. Czek opiewał na poważną sumę, lecz znacznie większą mógł gwarantować ów podpis, jeżeli oczywiście był prawdziwy. Pozwoliłem sobie zwrócić uwagę, iż cała sprawa przedstawia się podejrzenie, bo w normalnych warunkach nikt nie może

* Dżagarnat (Juggernaut) — w dawnych Indiach bożek, pod którego rydwan rzucali się rozfanatyzowani pielgrzymi. Procesja taka odbywała się raz do roku w świętym mieście Puri.

zniknąć o czwartej rano za piwnicznymi drzwiami i wrócić z cudzym czekiem na blisko sto funtów. Ale jegomość nie stropił się i powiedział z ironicznym uśmiechem: „Niech pan będzie spokojny. Zostaniemy razem aż do otwarcia banku. Wtedy sam zrealizuję czek”. Wobec tego lekarz, ojciec małej i nasz jeniec przesiadeli u mnie do rana. Po śniadaniu udaliśmy się do banku, gdzie przedstawiłem czek mówiąc wyraźnie, iż podejrzewam fałszerstwo. Ale nie! Podpis był najprawdziwszy!

— Ho, ho! — wtrącił pan Utterson.

— Widzę, że podzielasz moje uczucia — podjął pan Enfield. — To paskudna sprawa! Z tym podejrzanym typem, z tym gburem nikt uczciwy nie chciałby mieć do czynienia. A wystawca czeku to wzór przyzwoitości, szeroko znany i co gorsza (podobnie jak ty), szczerze oddany temu, co nazywacie dobroczynnością. Podejrzewam szantaż. Zaczny człowiek płaci za jakieś grzeszki młodości. Płaci, bo musi. Dzięki temu zajściu budynek z tajemniczymi drzwiami przestał być dla mnie bezimienny. Nazywam go Domem Szantażysty. — Zamyślił się i po chwili dodał nieco ciszej: — Chociaż, mój drogi, szantaż niezupełnie rozwiązuje zagadkę.

Znowu utonął w zadumie i ocknął się dopiero na dość obcesowe pytanie towarzysza:

— A nie wiesz, czy wystawca czeku mieszka w tamtym domu?

— Tak by się należało spodziewać — odparł pan Enfield. — Ale nie! Przypadkiem zwróciłem uwagę na jego adres. Mieszka przy jakimś placu. Zapomniałem nazwy.

— Czy próbowałeś dowiedzieć się więcej o... o tym domu z tajemniczymi drzwiami?

- Nie, mój drogi! Znasz chyba moją delikatność i dyskrecję — brzmiała odpowiedź. — Nie znoszę zadawać pytań, bo mi to pachnie Sądem Ostatecznym. Rzucić choćby błahe pytanie, to tak, jak poruszyć kamień. Siedzisz spokojnie na szczycie wzgórza, a kamień toczy się i porusza inne kamienie. Wreszcie jakiś pocziwina — ostatni człowiek, o którym byś pomyślał — podlewając własny ogródek dostanie po głowie i szczęśliwą małżonkę zostawi wdową, widzisz... Mimowolnie zostałeś mordercą, a twoja rodzina będzie musiała zmienić nazwisko. Nie, mój drogi! Hołduję niewzruszonej zasadzie: im bardziej podejrzana historia, tym mniej o nią pytam.

— Dobra zasada, dobra — przyznał adwokat.

— Ale na własną rękę obserwowałem zagadkową budowlę — podjął pan Enfield. — Nie bardzo nawet wygląda na dom mieszkalny. Nie ma drugich drzwi, a tymi jedynymi wychodzi lub wchodzi tylko bohater mojej opowieści, i to niezmiernie rzadko. Od strony zaułka są na piętrze trzy okna zawsze zamknięte, ale czyste. Parter jest ślepy. Zauważyłem, że z komina zazwyczaj się dymi. Wynikałoby z tego, że ktoś tam jednak mieszka. Ale domy w zaułku są tak stłoczone, że właściwie nie wiadomo, gdzie kończy się jeden, a zaczyna drugi... To jakaś dziwna sprawa!

Przyjaciele szli przez pewien czas w milczeniu. Wreszcie odezwał się adwokat:

— Posłuchaj, Ryszardzie. Hołdujesz dobrej zasadzie.

— I ja tak sędzę — odrzekł pan Enfield.

— Mimo to chciałbym cię o jedno zapytać — podjął prawnik. — O nazwisko jegomościa, który poturbował dziecko.

— Cóż, nie widzę w tym nic złego. Nazywa się Hyde.

— Hyde — powtórzył pan Utterson. — A jak wygląda?

— Nielatwo go opisać. Ma w sobie coś odrażającego, plugawego. Budzi żywiołową niechęć. Jak żyję, nie widziałem nikogo równie wstrętnego, ale nie mam pojęcia, czemu to przypisać. Sprawia wrażenie pokraki, kaleki, lecz rodzaju jego kalectwa określić niepodobna. Wygląda niezwykle, inaczej niż wszyscy ludzie, jakkolwiek nie ma w sobie nic osobliwego. Nie, mój drogi, to przechodzi moje siły! Nie potrafię opisać tej figury. Bynajmniej nie z braku pamięci, bo nawet w tej chwili mam go przed oczami.

Pan Utterson kroczył znów przez pewien czas w milczeniu; niewątpliwie

pograżony był w myślach.

— Jesteś pewien, że ten Hyde posłużył się kluczem? — zapytał wreszcie.

— Mój drogi... — zaczął się zdumiony i zaskoczony Enfield.

Tak, tak — przerwał mu pan Utterson. — Rozumiem, że dziwi cię ta cała historia. Cóż, ja nie pytam o nazwisko wystawcy czeku tylko dlatego, że jest mi znane. Skierowałeś opowiadanie pod właściwy adres. Jeżeli dopuściłeś się nieściśłości, sprostuj je lepiej.

— Mógłbyś mnie zawczasu ostrzec — powiedział z wyrzutem pan Enfield. — Ale w opowiadaniu byłem drobiazgowo ścisły. Hyde posłużył się kluczem i, co więcej, posługuje się nim nadal. Widziałem go niespełna tydzień temu.

Pan Utterson westchnął głęboko, lecz nie odezwał się słowem, a jego towarzysz podjął niebawem:

— Znów dostałem nauczkę. Najlepiej nic nie mówić. Wstyd mi długiego języka! Proszę cię, nie wracajmy nigdy do tego tematu.

— Z chęcią — odparł prawnik. — A na zgodę daj rękę.

Poszukiwanie Pana Hyde'a

Pan Utterson wrócił z przechadzki zasepiony i do jedzenia zabrał się bez apetytu. Niedzielne wieczory spędzał zazwyczaj w swoim kawalerskim domu, gdzie siadał po obiedzie w pobliżu kominka i rozłożywszy na pulpicie tom jakiejś suchej rozprawy teologicznej, czekał cierpliwie, aż na pobliskim kościele zegar wybije dwunastą. Wówczas spokojnie i z lekkim sercem szedł do łóżka. Ale tego wieczora, ledwie zdjęto obrus ze stołu, wziął świecę i powędrował do kancelarii. Otworzył kasę pancerną, dobył z sekretnego schowka kopertę z napisem „Ostatnia wola doktora Jekylla” i usadowiwszy się wygodnie, począł w skupieniu wertować ów dokument. Był to testament własnoręczny, bo pan Utterson zgodził się wprowadzić przyjąć gotowy depozyt, lecz w swoim czasie odmówił pomocy przy sporządzaniu aktu notarialnego. Ostatnią swą wolą Henryk Jekyll, doktor medycyny, profesor i członek licznych towarzystw naukowych, zapisywał cały majątek „swojemu przyjacielowi i dobroczyńcy, Edwardowi Hyde'owi”. Ale nie koniec na tym. W przypadku zniknięcia testatora lub nie wyjaśnionej jego nieobecności w okresie przynajmniej trzech miesięcy „rzeczony Edward Hyde” miał natychmiast przejąć na własność schedę, wolną od wszelkich zobowiązań i obciążeń z wyjątkiem kilku drobnych zapisów dla domowników doktora. Sprawa ta była od dawna solą w oku pana Uttersona. Raziła go jako prawnika oraz jako czciciela prostych, utartych dróg, dla którego wszystko niezwykłe graniczyło ze zdrożnością. Dotychczas najbardziej drażniła go bezosobowość pana Hyde'a, teraz — na skutek nagłego zwrotu — jego osobowość. Przykro było mieć do czynienia jedynie z nazwiskiem, o którym w dodatku nic nie wiadomo. Teraz jednak nazwisko przybierało ohydne właściwości. Z mgły od lat przysłaniającej obraz wyłaniał się kształt szatana. Było to nieporównanie smutniejsze.

— Podejrzywałem obłąd — mruknął pan Utterson chowając zagadkowy testament do kasy. — Dziś obawiam się zbrodni i niesławy.

Zdmuchnął świecę, ubrał się w płaszcz i ruszył w stronę Cavendish Square, owego przybytku medycyny, gdzie jego przyjaciel — wielki doktor Lanyon mieszkał i przyjmował tłum pacjentów.

Jeden Lanyon może coś wiedzieć o tej sprawie — myślał po drodze.

Sztywny kamerdyner znał go i przywitał zyczliwie, toteż pan Utterson nie musiał czekać, lecz został niezwłocznie wprowadzony do jadalni, gdzie gospodarz w samotności pił wino po obiedzie. Głośny lekarz był jowialny, tryskający zdrowiem, wymuskany i czerstwy. Miał bujną,

przedwcześnie pobiełała czuprynę i żywe, pewne ruchy. Na powitanie gościa zerwał się z krzesła; wyciągnął obydwie ręce. Ta wylewność, podobnie jak całe zachowanie doktora robiły wrażenie nieco teatralne, lecz stanowiły wyraz szerszych uczuć. Dwaj panowie byli bowiem dawnymi przyjaciółmi, kolegami ze szkoły i uniwersytetu, a ponadto darzyli się nawzajem życzliwym szacunkiem i — co nie zawsze idzie w parze — naprawdę czuli się dobrze w swoim towarzystwie.

Po krótkiej gawędzie o tym i o owym adwokat poruszył nurtującą go niemiłą kwestię.

— Myślę, Lanyon — rozpoczął — że Henryk Jekyll nie ma starszych przyjaciół niż ty albo ja? — Szkoda, że ci przyjaciele nie są trochę młodszy, ale masz chyba rację — roześmiał się gospodarz. — I cóż z tego? Spotykamy się teraz bardzo rzadko.

— Czyżby? — zdziwił się pan Utterson. — Sądziłem, że łączą was sprawy zawodowe.

— Łączyły — odparł lekarz. — Ale od dziesięciu lat Henryk Jekyll hołduje teoriom jak na mój gust trochę zbyt fantastycznym. Zaczął błędzić, błędzić na drodze rozumowania. Oczywiście, utrzymuję z nim kontakt przez wzgląd, jak to się mówi, na dawne dobre czasy. Widujemy się jednak diabelnie rzadko. Takie nienaukowe bajanie — dorzucił purpurowiejąc nagle — poróżniłoby chyba nawet Damona i Pytiasa*.

Końcowy, niegroźny zresztą wybuch przyniósł niejaką ulgę panu Uttersonowi.

Posprzeczali się tylko na jakieś tematy naukowe — pomyślał prawnik, a że sam nie był fanatykiem nauki (z wyjątkiem teorii prawniczych), dodał nawet: Mogłoby być gorzej.

Następnie zostawił przyjacielowi kilka sekund na ochłonięcie i zaryzykował pytanie, które stanowiło powód odwiedzin:

— Czy zetknąłeś się kiedy z protegowanym Jekylla... z niejakim Hyde'em?

— Hyde? Nie. Jak żyję, nie słyszałem tego nazwiska — odparł doktor Lanyon.

Tyle tylko dowiedział się adwokat, poszedł więc na spoczynek zatroskany i do białego rana przewracał się z boku na bok na ciemnym, staroświeckim łożu. Nie wypoczął tej nocy, gdyż dręczyły go liczne pytania, na które niepodobna było znaleźć odpowiedzi.

Szósta wybiła na dzwonnicy kościoła, który ku wygodzie pana Uttersona sąsiadował z jego domem, a adwokat wciąż głowił się nad zawiłym problemem. Dotychczas była to kwestia czysto intelektualna, obecnie jednak zaatakowała i wzięła w niewolę również wyobraźnię. Stary prawnik męczył się długo; w mroku zasłoniętego roletami pokoju jak chińskie cienie przesuwają się sceny opowieści Enfielda. Widział niezliczone szeregi latarń w ciszy pogrążonego we śnie wielkiego miasta. Widział sylwetkę szybko nadchodzącego mężczyzny i małą dziewczynkę, co wystraszona biegnie od lekarza. Następuje zderzenie. Wcielony Dżagarnat bezlitośnie tratuje dziecko i kroczy dalej swoją drogą, nie bacząc na płacz ofiary. Później fantazja maluje coś innego: pan Utterson widzi komnatę w zasobnym domu, gdzie przyjaciel śpi błogo i uśmiecha się przez sen do swoich marzeń. Nagle otwierają się drzwi, rozchylają zasłony łóżka, nad uśpionym staje groźna zjawia — ktoś obdarzony tak wielką władzą, że doktor Jekyll, obudzony pośród głuchej nocy, musi wstać i zadośćuczynić jego woli. Ta sama zmora w obydwu fazach swego działania nawiedzała prawnika do świtu nawet wówczas, gdy zapadał w drzemkę. Raz sunęła ukradkiem przez pokoje znajomego domu, raz szybko — coraz szybciej, aż do zawrotu głowy — mknęła labiryntem oświetlonych, pustych ulic, by na każdym rogu tratować i porzucać zawodzące żałośnie dziecko. Ale zmora nie miała twarzy, po której można by ją poznać. Nawet w koszmarnym śnie twarz ta była zamglona albo natychmiast topniała od spojrzeń. Dzięki temu w panu Uttersonie zrodziła się i nabrała mocy gwałtowna, nieodparta chęć, by zaznajomić się z obliczem prawdziwego pana Hyde'a. Adwokat miał nadzieję, że gdyby choć raz zobaczył owego człowieka, zagadka wyjaśniłaby się i przestała! być atrakcyjna, jak to się zwykle zdarza po bliższym zbadaniu tajemniczych zjawisk czy rzeczy.

*Damon i Pytias — dwaj filozofowie szkoły pitagorejskiej działający w starożytnych Syrakuzach. Gdy pierwszy z nich został skazany na śmierć, drugi pragnął zginąć zamiast przyjaciela, dzięki czemu zyskał łaskę tyrana Dionisiosa dla obydwóch i z imion ich uczynił symbol wiernej przyjaźni.

Zapewne odnalazłby się wtedy klucz do dziwacznej przyjaźni lub niewoli (mniejsza o nazwę!), a może nawet do osobliwej treści testamentu doktora Jekylla. W każdym razie warto obejrzeć twarz istoty ludzkiej do cna pozbawionej miłosierdzia — twarz, której przelotny wyraz potrafił wzbudzić namiętą nienawiść w sercu beznamiętnego Ryszarda Enfielda.

Od tej chwili pan Utterson zaczął strażować w pobliżu drzwi domu przy bocznej uliczce. Rano, przed rozpoczęciem pracy; w południe, kiedy kipiał ożywiony handel; nocą, pod księżycem zasnutym dymami miasta — o każdej porze, w godzinach pustki i największego ruchu, adwokat trwał na obranym posterunku.

Kryj się, jak chcesz, panie Hyde — myślał. — Tak czy inaczej, odnaleźć cię muszę.

Wreszcie cierpliwość doczekała się nagrody. W pogodny, widny, mroźny wieczór uliczka była czysta jak sala balowa, a latarnie — których nie poruszał najłżejszy nawet powiew — zdobiły ją regularnym deseniem świateł i cieni. Po zamknięciu sklepów, mniej więcej o dziesiątej, zrobiło się dokoła pusto i bardzo cicho, chociaż zewsząd nadpływał stłumiony pogwar Londynu. Nawet słabe dźwięki niosły się daleko. Po przeciwnej stronie jezdnii słychać było odgłosy życia ludzkich siedzib, a miarowy stukot wcześniej zapowiadał każdego przechodnia. Pan Utterson czuwał już od kilku minut na posterunku, gdy złowił uchem zbliżający się tupot dziwnych, szczególnie lekkich kroków. Podczas nocnych czat zdążył przywyknąć do wrażenia, jakie sprawia wyłaniający się nagle z wielkemiejskiego gwaru takt wybijany nogami pojedynczego człowieka. Tym razem jednak odległe echo było odmienne, wstrząsające, i pan Utterson, podświadomie przeczuwając sukces, cofnął się spieszenie w gardziel zaułka.

Kroki były coraz bliżej i bliżej, aż nagle — kiedy skręciły na rogu uliczki — odgłos ich przybrał na sile. Adwokat wyrzwał z ciemnego zaułka i na pierwszy rzut oka ocenił, z jakiego pokroju człowiekiem będzie miał do czynienia. Nadchodzący mężczyzna był niski, bardzo skromnie odziany i nawet z daleka sprawiał szczególnie odpychające wrażenie. Zmierzał w stronę tajemniczych drzwi i dla pośpiechu, przecinając ukosem jezdnię, wyjmował z kieszeni klucz, jak ktoś wracający do domu.

Pan Utterson wystąpił na oświetlony chodnik i dotknął ramienia nieznajomego.

— Pan Hyde, zdaje się? — zapytał.

Zagadnięty cofnął się, wzdrygnął i syknął przez zęby, lecz przerażenie jego było widać chwilowe, gdyż odpowiedział chłodno i spokojnie, chociaż nie spojrzął w oczy natrętowi:

— Tak. Nazywam się Hyde. Czego pan chce ode mnie?

— Widzę, że pan tu wchodzi — odparł prawnik. — Jestem starym przyjacielem doktora Jekylla... Utterson z Gaunt Street. Zapewne słyszał pan o mnie? Otóż spotkaliśmy się w porę. Czy wolno wejść z panem?

— Nie zastanie pan teraz doktora Jekylla. Nie ma go tutaj — burknął Hyde wsuwając klucz w zamek i szybko dodał nie podnosząc oczu: — Skąd pan mnie zna?

— Chciałbym również prosić pana o pewną uprzejmość — podjął adwokat pomijając milczeniem pytanie.

— Służę. O co chodzi?

— Pozwoli pan spojrzeć sobie w twarz?

Pan Hyde stropił się, zawahał, lecz niebawem, jak gdyby powziąwszy decyzję, zmierzył prawnika wyzywającym wzrokiem. Przez kilka sekund dwaj przeciwnicy obserwowali się bacznie.

— Teraz poznam pana zawsze i wszędzie — odezwał się wreszcie prawnik. — Może się to kiedyś przydać.

— Zapewne. Cieszę się z naszego spotkania... Aha! Sądzę, że powinien pan mieć mój adres — tu wymienił numer domu przy pewnej ulicy w Soho.

Wielki Boże! Czyżby i on pił do ostatniej woli Jekylla? — pomyślał pan Utterson, nie dał jednak wyrazu uczuciom i mimochodem podziękował za adres.

— Pozwolę sobie zapytać po raz drugi — podjął tajemniczy jegomość — skąd pan mnie zna?
— Z opisu.
— A kto mnie opisywał?
— Mamy wspólnych znajomych.
— Wspólnych znajomych? — powtórzył pan Hyde niby ochryple echo. — Któż to taki?
— No, na przykład Jekyll.
— On panu nic nie mówił! — zawołał Hyde z nagłą pasją. — Nie wiedziałem, że rozmawiam z łgarzem.
— Hola! — obruszył się adwokat. — Wypraszam sobie takie słowa!
Pan Hyde zarechotał donośnym śmiechem, szybko otworzył drzwi i zniknął w mgnieniu oka.

Pozostawiony tak pan Utterson stał przez chwilę bez ruchu, niby posąg strapienia. Później jął z wolna oddalać się uliczką i przystając co kilka kroków, dotykał ręką czoła, jak gdyby dręczyła go duchowa rozterka. Pytanie, które roztrząsał, należało do trudnych problemów. Pan Hyde jest mały — prawie karzeł — i obrzydliwie blade. Sprawia wrażenie kaleki, chociaż kalectwa jego niepodobna nazwać. Ma obleśny uśmiech, a zachowanie jego cechowała wstrętna mieszanina pokory i czelności. Mówi ochryplym, nieco jękającym szeptem. Wszystko to razem wzięte przemawia oczywiście przeciwko niemu, lecz jeszcze nie uzasadnia wstrętu, niechęci i obaw jakie wzbudził w panu Uttersonie.

— Musi być w tym coś innego — mówił do siebie zafrasowany prawnik — chociaż, Bóg mi świadkiem, nie mam pojęcia, jak to nazwać. Ten stwór ma w sobie niewiele z człowieka. Przypomina jaskiniowca. A może to stara historia o żywiołowej antypatii? Może plugawa dusza prześwieca przez doczesną powłokę i potwornie szpeci jej kształt? Tak! Chyba słuszna będzie ostatnia hipoteza. Biedny, stary doktorze Jekyll! Nigdy jeszcze nie widziałem piętna szatana tak wyraźnie, jak na twarzy twojego nowego przyjaciela!

Za rogiem bocznej uliczki leżał plac otoczony starymi, pięknymi kamienicami, które podupadły ostatnio i zapomniały o dawnej świetności. Wynajmowano w nich mieszkania lub pojedyncze pokoje, które zajmowali ludzie wszelakiej profesji: rytownicy map, budowniczy, pokątni doradcy i agenci rozmaitych podejrzanych spółek. Tylko jeden dom, drugi od rogu, był zajęty w całości i tchnął bogactwem i wygodą, chociaż obecnie tonał w ciemnościach, a wątłym światelkiem połyskiwało tylko półkoliste okienko nad drzwiami. Do tych właśnie drzwi zakołatał pan Utterson. Otworzył mu starszawy, poprawnie ubrany lokaj.

— Dobry wieczór, Poole. Doktor Jekyll w domu? — zapytał prawnik.
— Zaraz zobaczę, panie mecenasie — odrzekł Poole. — Zechce pan mecenas zaczekać tutaj, przy ogniu, czy też mam zapalić świece w jadalni?

Przestronny, zaciszny hali miał niski, belkowany pułap i kamienną posadzkę. Umeblowany był cennymi antykami z poczerńałego dębu, a ogrzewał go (podobnie jak sień w wiejskim dworze) suty ogień, co płonął pod okapem otwartego kominka.

— Dziękuję, Poole, zaczekam tutaj — odpowiedział prawnik.

Przysunął się bliżej kominka i oparł o jego wysoką balustradę. Hali, w którym go zostawiono, był ulubionym miejscem doktora Jekylla, a i pan Utterson nazywał go często najprzyjemniejszym zaciszem Londynu. Dzisiaj jednak adwokat miał we krwi dreszcz grozy, nie mógł wypędzić z pamięci twarzy Hyde'a i — co mu się rzadko zdarzało — odczuwał niesmak i zniechęcenie do życia. Będąc w tak posepnym nastroju, widział groźbę w pełgającym po polerowanych szafach odbłasku płomieni i w tajemniczych cieniach zalegających między belkami pułapu. Pan Utterson poczuł znaczną ulgę (choć wstyd mu jej było), kiedy Poole wrócił i zameldował, że jego pan wyszedł.

— Doktora Jekylla nie ma w domu? — zdziwił się adwokat. — A przed chwilą widziałem, jak

pan Hyde wszedł do starego prosektorium. Czy to w porządku, Poole?

— Najzupełniej w porządku, panie mecenasie — odpowiedział służący. — Pan Hyde ma klucz.

— Doktor Jekyll bezgranicznie ufa temu młodemu człowiekowi, prawda? — podjął posepnie przyjaciel pana domu.

— Tak, panie mecenasie. Całej służbie rozkazał, aby słuchała pana Hyde'a.

— Wydaje mi się, że nigdy go tu nie spotkałem — mruknął pan Utterson.

— Bardzo możliwe, panie mecenasie. Pan Hyde nie bywa u nas na obiadach. W ogóle rzadko go widzimy po tej stronie domu. Zawsze wchodzi i wychodzi przez laboratorium.

— Rozumiem. Dobranoc, Poole.

— Dobranoc, panie mecenasie.

Stary prawnik ruszył w powrotną drogę, a serce ciążyło mu w piersi kamieniem.

Biedny Harry Jekyll! — rozmyślał. — Musiał pograć się głęboko. Widocznie srodze nabroił w dniach młodości, a chociaż to odległa przeszłość, prawo boskie nie zna przedawnienia. Tak to będzie, nie inaczej. Upiór jakiegoś dawnego grzechu, rak tajonej hańby... Hm... kara zbliża się *pede claudo**, chociaż pamięć od wielu lat puściła winę w zapomnienie, a miłość własna udzieliła rozgrzeszenia.

Adwokat zląkł się tych rozważań i przez czas pewien błądził we własnych wspomnieniach, sięgając najciemniejszych zakątków. Nie taił przed sobą obawy, że jakiś grzech młodości może wyskoczyć w każdej chwili, niby diablik po uniesieniu wieczka jego kryjówki. Przeszłość miał nieskazitelną. Niewiele ludzi mogłoby odczytać swój życiorys z równym spokojem. Mimo to jednak pan Utterson poczuł się prochem z powodu wielu złych postępów i urósł znów we własnych oczach dopiero na myśl o wielu innych, których zdołał uniknąć. Po takim rachunku sumienia wrócił do poprzedniego tematu nie bez iskiej nadziei.

Warto by przypatrzeć się z bliska szanownemu panu Hyde'owi — snuł rozważania. — Hm, sądząc na oko, ten jegomość musi mieć sekrety, czarne sekrety, wobec których najgorszy uczynek biednego Jekylla będzie jaśniał niczym słońce. Tak dłużej być nie może! Zimno mi się robi na myśl, że ta kreatura skrada się i staje nagle nad łóżkiem Henryka. Biedny stary Jekyll! Co za przebudzenie! To przecie niebezpieczna historia. Jeżeli Hyde wie o istnieniu testamentu, może mu być pilno do schedy. Tak, tak! Trzeba wtrącić swoje trzy grosze, zabrać się do roboty... — Zasepił się na chwilę. — Jeżeli, oczywiście, Jekyll mi pozwoli. Jeżeli tylko mi pozwoli...

Ostatnie zdanie pan Utterson dodał pod wpływem dziwnych punktów testamentu doktora Jekylla, które stanęły mu teraz przed oczyma wyobraźni.

Doktor Jekyll jest zupełnie spokojny

Szczerliwym zbiegiem okoliczności w dwa tygodnie później doktor Jekyll wydał jeden ze swych miłych obiadów dla kilku starych druhów — inteligentnych, znanych w mieście panów, znawców dobrego wina. Panu Uttersonowi udało się zostać po odejściu innych biesiadników, co nie było trudne, bo już dawniej weszło niejako w zwyczaj. Jeżeli ktoś lubił Uttersona — lubił go naprawdę, toteż gospodarze chętnie zatrzymywali oschłego jurystę, gdy inni goście, weselsi i bardziej wygadani, opuścili ich progi. W dyskretnym jego towarzystwie, w atmosferze bogatego w treść milczenia w samotności trzeźwili duchowo po ożywieniu i zgiełku wesołej zabawy. Doktor Jekyll nie stanowił wyjątku od tej reguły, kiedy więc zasiadł przed kominkiem naprzeciw starego przyjaciela, widać było, iż darzy go szczerą, gorącą sympatią. Mówił o tym wyraz twarzy i oczu

**Pede claudo* (łac.) — cichym krokiem, ukradkiem, cichaczem.

tego rosłego, dobrze zbudowanego pięćdziesięcioletniego mężczyzny o gładko ogolonej twarzy i minie być może nieco przebiegłej, lecz zdradzającej niepośledni intelekt i głęboką dobroć.

— Chciałbym pogadać z tobą, Jekyll — odezwał się adwokat. — Wiesz, o tym twoim testamencie.

Bystry obserwator dostrzegłby niezawodnie, że temat nie poszedł w smak gospodarzowi, który wszelako podjął go żartobliwie.

— Biedny Utterson! — westchnął. — Masz pecha, że trafią ci się taki klient. Jak żyję, nie widziałem człowieka zatroskanego czymś bardziej niż ty moją ostatnią wolą. Aha, zapomniałem o tym zacofanym pedancie Lanyonie, co łamie ręce nad moimi, jak się łaskawie wyraża, herezjami naukowymi. Nie przyglądaj mi się tak spode łba. Wiem, że z niego doskonały kolega i złote serce. Od dawna pragnę go częściej widywać. Ale mimo wszystko to zacofany, powiedziałbym nawet, ograniczony i gruboskórny pedant. Nigdy nie rozczarował mnie nikt tak, jak stary, pocziwy Lanyon.

— Od początku nie pochylałem twego kroku. Dobrze o tym wiesz — podjął prawnik puszczając mimo uszu świeżo rozpoczęty temat.

— Mowa o testamencie? Wiem, że go nie pochwalasz. Nigdy tego nie taileś — odparł dość szorstko doktor.

— I nie myślę taić. Ostatnio zapoznałem się po trosze z twoim panem Hyde'em.

Pełna, urodziwa twarz gospodarza pobieliała; wargi zsiniały, a pod oczyma ukazały się głębokie cienie.

— Nie chciałbym o tym więcej słyszeć — rzucił doktor Jekyll. — O ile sobie przypominam, umówiliśmy się, że to temat pogrzebany.

— Dowiedziałem się potwornych rzeczy...

— Które nic nie mogą zmienić — dokończył lekarz tonem żywego wzburzenia. — Nie rozumiesz mojej sytuacji. Jest bolesna i niecodzienna, Utterson. Naprawdę niecodzienna. Słowa tu nic nie pomogą.

— Posłuchaj, Henryku! — wybuchnął adwokat. — Znasz mnie. Jestem człowiekiem godnym zaufania. Powiedz wszystko szczerze, a nie wątpię, że zdołam cię wyciągnąć z biedy.

— Pocziwy, zacy przyjacielu — odparł gospodarz. — Jestem ci wdzięczny, niewymownie wdzięczny. Doprawdy, braknie mi słów podzięk. Wierzę ci bez zastrzeżeń. Gdybym miał wybór, wolałbym zaufać tobie niż komukolwiek innemu *na* świecie, nie wyłączając siebie. Ale, zapewniam cię, moja sprawa różni się bardzo od twoich o niej wyobrażeń. Nie jest aż taka kiepska. Wyznam ci coś, bo pragnę uspokoić twoje życzliwe serce. W każdej chwili kiedy zechcę, mogę uwolnić się od pana Hyde'a. Ręczę za prawdę tych słów, Utterson. Oto moja ręka! Jeszcze raz dziękuję ci serdecznie i dodam coś, czego na pewno nie weźmiesz mi za złe. To moja czysto osobista sprawa i zaklinam cię, nie powracajmy do niej nigdy.

Adwokat milczał zapatrzony w ogień.

— Cóż — powiedział wreszcie, dźwigając się z fotela. — Nie wątpię, że masz zupełną słuszność.

— Ponieważ jednak poruszyliśmy tę kwestię (mam nadzieję po raz ostatni) — podjął doktor Jekyll — chciałbym ci jeszcze coś wytłumaczyć. Biedny Hyde żywo mnie interesuje. Wiem, żeś się z nim spotkał. Sam mi o tym powiedział. Obawiam się, że był niegrzeczny, gburowaty. Ale, wierzaj mi, to młody człowiek, na którym mi zależy, niezmiernie zależy, Utterson. Dlatego będę ci wdzięczny, jeżeli mi obiecasz, że kiedy mnie zabraknie, zajmiesz się nim i wprowadzisz go w słuszne prawa. Sądzę, że postąpiłbyś tak niewątpliwie, gdyby ci wszystko było wiadome, a twoja obietnica zdejmie mi znaczny ciężar z serca.

— Nie mogę udawać, że zdołam go kiedykolwiek polubić — odparł pan Utterson.

Wcale się tego nie domagam — odparł lekarz kładąc dłoń na ramieniu przyjaciela. — Proszę tylko o zwykłą sprawiedliwość, o pomoc dla niego przez wzgląd na mnie, kiedy już stąd odejdę.

Adwokat nie mógł powstrzymać westchnienia.
— To ci przyrzekam — powiedział.

Morderstwo sir Danversa Carew

Minęło wiele miesięcy. W październiku roku 18.. bestialska zbrodnia wstrząsnęła Londynem i nabrała rozgłosu dzięki wysokiej pozycji ofiary. Nieliczne szczegóły były zdumiewające. Młoda służąca, zamieszkała chwilowo samotnie w pewnym domu niedaleko rzeki, poszła do swego pokoju na piętrze około godziny jedenastej wieczorem. Po zachodzie słońca ciężkie tumany mgieł przetoczyły się nad miastem, później jednak chmury ustąpiły i pełnia księżycy jasno oświecała uliczkę przed oknem służbowego pokoju. Dziewczyna miała zapewne romantyczne usposobienie, gdyż siadła na swym kufierku stojącym w okiennej wnęce i zapadła w pół drzemkę, pół zadumę. Nigdy (jak często ze łzami w oczach opowiadała o swych przeżyciach), nigdy nie czuła się bardziej w zgodzie z całym światem i nie myślała życzliwiej o bliźnich. Siedząc tak, zobaczyła, że wytworny, bardzo piękny starzec o białych jak mleko włosach zbliża się uliczką, naprzeciw zaś niego idzie mężczyzna szczególnie niskiego wzrostu, niewątpliwie mniej godny uwagi. Spotkanie nastąpiło tuż pod oknem służącej. Starzec uklonił się i z nader uprzejmym gestem zagadnął drugiego przechodnia. Dziewczyna odniosła wrażenie, że nie chodziło o ważną kwestię, a gesty starego pana wskazywały, że zapewne pyta o drogę. W tej chwili księżyc oświecił go jasno. Twarz starca była szczególnie ujmująca. Miała wyraz łagodnej, staroświeckiej uprzejmości, a zarazem dziwnej powagi, jak gdyby opartej na słusznym szacunku dla samego siebie. Obserwatorka przeniosła wzrok na drugiego mężczyznę i ze zdziwieniem poznała w nim niejakiego Hyde'a, który odwiedził niegdyś dom jej chlebodawcy i wzbudził w niej gwałtowną niechęć. Pan Hyde nie odpowiadał, lecz ze źle ukrywanym zniecierpliwieniem słuchał słów sędziwego pana i bawił się ciężką laską, którą trzymał w ręku. Nagle wpadł w furję. Zaczął tupać, wymachiwać laską i, jak to określiła dziewczyna, zachowywać się niczym obłąkaniec. Starzec cofnął się zdziwiony i urażony grubiaństwem. Wtedy Hyde uniósł laskę i potężnym ciosem obalił go na ziemię. Potem jak rozjuszona małpa skoczył na ofiarę i depcąc ją nogami tłukł raz po raz, aż słyhać było chrzęst łamanych kości. Ciało osunęło się na jezdnię. Na ten okropny widok dziewczyna zemdląca.

O drugiej nad ranem odzyskała przytomność i wezwała policję. Morderca uszedł od dawna. Na środku uliczki leżały straszliwie zmasakrowane zwłoki. Laska — chociaż zrobiona z jakiegoś cennego drewna, ciężkiego i twardego — pękła na dwoje w rękach szaleńca. Jedna jej połowa potoczyła się do pobliskiego rynsztoka, drugą niewątpliwie uniósł zabójca. W kieszeniach ofiary znaleziono sakiewkę i złoty zegarek, nie było tam wszakże dokumentów lub papierów oprócz zapieczętowanej koperty adresowanej do pana Uttersona.

Adwokat miał zapewne tę przesyłkę otrzymać pocztą, lecz policja doręczyła mu ją nazajutrz rano, zanim jeszcze zdążył wstać z łóżka. Kiedy przeczytał list i usłyszał co się stało, twarz mu spochmurniała.

— Nie powiem nic przed obejrzeniem ciała — rzekł. — Sprawa może być poważniejsza, niż się wydaje. Zechcą panowie zaczekać na mnie chwilę. Wnet się ubiorę.

Z grobową miną zjadł śniadanie i bez słowa pozwolił zawieźć się do komisariatu policji, gdzie tymczasem dostarczono ciało. Wszedłszy do kostnicy smutno pokiwał głową.

— Tak — powiedział z głębokim żalem. — Poznaję go. To sir Danvers Carew.

— Wielki Boże! — zawołał policjant. — Czy to możliwe? — Niebawem jednak roz pogodził się pod wpływem połączanej ambicji zawodowej. — Sprawa narobi ładnego hałasu. Czy pan mecenas mógłby nam pomóc w odnalezieniu mordercy?

Następnie streścił pobieżnie opowiadanie służącej i pokazał złamaną łaskę.

Prawnik wzdrygnął się, gdy po raz pierwszy usłyszał nazwisko Hyde'a, lecz widok ułamanego kija rozproszył niezwłocznie wszelkie wątpliwości, bo pan Utterson łatwo rozpoznał łaskę, którą sam przed laty ofiarował doktorowi Jekyllowi.

— Czy ów Hyde to osobnik niskiego wzrostu? — zapytał.

— Jest bardzo drobny i wygląda szczególnie odpychająco. Tak przynajmniej zeznaje służąca — odrzekł policjant.

Adwokat zamyślił się na moment, wnet jednak podniósł głowę i rzucił stanowczym tonem:

— Jeżeli zechce mi pan towarzyszyć, możemy zaraz moim powozem jechać do domu tego człowieka.

Dochodziła dziewiąta rano. Pierwsza mgła jesienna zaczynała spowijać miasto. Z nieba spływały tumany czekoladowej barwy, ponieważ jednak wiatr szarpał je i rozpraszał nieustannie, oświetlenie było nader dziwaczne i pan Utterson oglądał z wlokącego się powozu wszelkie odcienie półmroku. Na jednej ulicy było ciemno, jak późnym wieczorem, na innej — kiedy nagły podmuch rozwał mgłę — mizerny odbłask dnia bielił kudłate strzępy oparów. W zmieniającej się wciąż grze światła i cieni nędzna dzielnica Soho przedstawiała ponury widok. Błotniste uliczki, obdarci przechodnie, latarnie, których nikt nie gasił nad ranem i nie zapalał na nowo przed nadejściem ciemności — wszystko to składało się na obraz widmowego miasta z koszmaru. Ponadto pan Utterson miał głowę pełną najczarniejszych myśli, a gdy spoglądał z ukosa na towarzysza przejażdżki, odczuwał mimowolny lęk przed prawem i jego sługami — strach, który nawiedza niekiedy nawet najuczciwszych ludzi.

Kiedy pojazd stanął pod wskazanym adresem, mgły uniosły się nieco i ukazały obskurną uliczkę, szynk ostatniego rzędu, francuską garkuchnię i stragan z kanapkami za pensa i sałatkami pod dwa pensy porcja. Hordy dzieci w łachmanach zapełniały sienie, a kobiety różnych narodowości, każda z kluczem w ręku, śpieszyły do szynku, aby rozpocząć dzień od dzinu. Po chwili brunatny tuman zgęstniał znów i przesłonił obrazy nędzarskiego życia. W takiej oto dzielnicy mieszkał faworyt doktora Henryka Jekylla, przysły dziedzic ćwierci miliona funtów.

Drzwi otworzyła stara kobieta o cerze koloru kości słoniowej i srebrzystych włosach. Miała twarz obłudnej jędzy, zachowywała się jednak układnie. Tak, pan Edward Hyde mieszka tutaj, ale nie ma go w domu. Tej nocy przyszedł nad ranem, lecz nie zabawił nawet godziny. Nie było w tym nic osobliwego, bo pan Hyde ma bardzo dziwne zwyczaje. Na przykład ostatnio nie był w domu blisko dwa miesiące.

— Aha, dziękujemy. W takim razie chcielibyśmy zobaczyć jego mieszkanie — powiedział adwokat, a kiedy starucha zaczęła dowodzić, że to niemożliwe, rzucił suchym tonem. — Wobec tego nie będę taił, kto mi towarzyszy: inspektor Newcomen ze Scotland Yardu.

Błysk złośliwej radości rozjaśnił twarz staruchy.

— A! Wpadł nareszcie! — zawołała. — Co zrobił?

Adwokat zerknął na inspektora, ten zaś odpowiedział mu równie znaczącym spojrzeniem.

— Widzę, że ptaszek nie cieszy się sympatią — mruknął i dodał zaraz pod adresem gospodyni. — A teraz, dobra kobieto, wpuście nas do mieszkania. Musimy zobaczyć, jak tu wygląda.

Obszerny dom ział pustką. Na stałe nie mieszkał w nim nikt prócz owej starej kobiety, a pan Hyde zajmował tylko dwa pokoje urządzone jednak bogato i z nader dobrym smakiem. Butelki dobrych win wypełniały kredens, zastawa była srebrna, obrusy i serwety w pięknym gatunku, dywany pastelowych odcieni grube i puszyste. Na ścianie wisiał cenny obraz, dar (jak przypuszczał pan Utterson) doktora Jekylla, wielkiego miłośnika i znawcy sztuki. Obecnie jednak zbytkowne komnaty wyglądały jak gdyby splądrowane niedawno i pośpiesznie. Ubrania z powywracanymi kieszeniami leżały na podłodze. Szuflady były otwarte, a spory stos szarych popiołów dowodził, że

w kominku spalono wiele papierów. Z popiołu inspektor wygrzebał grzbiet zielonej książeczki czekowej, który oparł się jakoś płomieniom. Druga część złamanej laski stała za uchylonymi drzwiami, co oczywiście ugruntowało podejrzenia i niezmiernie ucieszyło policjanta. Ale radość jego ukoronowała dopiero wizyta w banku, gdzie zbrodniarz miał na koncie kilka tysięcy funtów.

— Panie mecenasie! — zawołał sługa prawa. — Historia prosta! Mamy go w ręku! Musiał zupełnie stracić głowę, bo inaczej nie zostawiłby laski, a przede wszystkim nie spaliłby książeczki czekowej. Rozumie pan? Pieniądze to nerw życia. Teraz nic nie trzeba robić, tylko czekać na niego w banku i rozesłać listy gończe.

Ale „historia” nie była aż tak prosta, gdyż Edward Hyde nie miał przyjaciół lub znajomych (nawet pan młodej służącej, naocznego świadka morderstwa, widział go ledwie dwa razy), nie można było nigdzie wytropić jego rodziny ani znaleźć fotografii, a nieliczne osoby, które mogłyby go opisać, bardzo różniły się w szczegółach, jak to najczęściej w podobnych przypadkach bywa. Tylko pod jednym względem godzili się wszyscy: zbiegły morderca sprawiał wrażenie kaleki, lecz ułomności jego niepodobna było określić.

List mordercy

Późnym popołudniem pan Utterson zastukał do drzwi doktora Jekylla. Poole otworzył mu zaraz. Przez kuchenny korytarz i podwórko, które niegdyś było ogrodem, zaprowadził gościa do budynku zwanego prosektorium albo laboratorium. Doktor kupił dom od spadkobierców słynnego chirurga, a że bardziej interesował się chemią niż anatomią, zmienił przeznaczenie pawilonu w głębi ogrodu. Stary prawnik był po raz pierwszy w tej części rezydencji przyjaciela, toteż zerkał ciekawie na dziwną budowlę bez okien. Kiedy zaś wszedł do posępnej, okrągłej sali (dziś wyludnionej, lecz w swoim czasie pełnej żądnych wiedzy studentów), podejrzliwie i z niesmakiem przyglądał się stołom załadowanym wszelkiego rodzaju aparaturą chemiczną, podłodze zasypanej szczątkami skrzynek i słomą do pakowania, pociemniałej kopule, przez którą sączyło się blade światło. W głębi dawnego prosektorium proste schody wiodły do obitych czerwonym wojłokiem drzwi gabinetu doktora Jekylla. Był to przestronny pokój o trzech zakratowanych i zakurzonych oknach wychodzących na zaułek. Pod ścianami stały oszklone białe szafki, a z mebli pan Utterson zwrócił przede wszystkim uwagę na duże tremo i zwykły stół biurowy. Suty ogień płonął na kominku, nad nim zaś na półce stała zapalona lampa, bo gęstniejąca wciąż mgła przenikała nawet do wnętrza domów. Doktor Jekyll siedział przy kominku. Sprawiał wrażenie człowieka śmiertelnie chorego. Na widok przyjaciela nie wstał, lecz podał mu lodowatą rękę i zmienionym głosem wyrzekł kilka słów powitania.

— I cóż? Słyszałeś nowinę? — zagaił rozmowę prawnik, kiedy drzwi zamknęły się za kamerdynerem.

— Gazeciarze wrzeszczeli o niej na placu — wzdrygnął się doktor. — Słyszałem z okien mojej jadalni.

— Przede wszystkim, Henryku — podjął pan Utterson — Carew był moim klientem, ty jesteś nim również. Chcę wiedzieć, jak mam postępować. Nie oszalałeś chyba i nie ukrywasz zbrodniarza?

— Utterson! Zaklinam się na wszystko, co święte, przysięgam w obliczu Boga, że póki życia, nie spojrzę na tego człowieka. Ręczę ci honorem, że skończyłem z nim raz na zawsze, ostatecznie! Wszystko przeszło, minęło. A zresztą wcale mu niepotrzebna moja pomoc. Ty nie znasz go tak dobrze, jak ja. Jest bezpieczny, absolutnie bezpieczny. Zapamiętaj sobie moje słowa: świat nigdy więcej o nim nie usłyszy.

Adwokat słuchał nachmurzony. Nie podobało mu się gorączkowe podniecenie przyjaciela.

— Widzę, że masz do niego zaufanie — rzekł wreszcie. — Hm, przez wzgląd na ciebie mam nadzieję, że się nie mylisz. Gdyby jednak doszło do procesu, wypłynęłoby twoje nazwisko.

— Tak, jestem najzupełniej spokojny i mam po temu racje, których z nikim nie mogę dzielić — odparł doktor Jekyll. — Chciałbym jednak poradzić się ciebie w pewnej kwestii. Widzisz, mam... otrzymałem list i zachodzę w głowę, czy powiedzieć o tym policji. Ale najlepiej przekażę ten list tobie i zdam się na twój rozumny osąd. Do nikogo na świecie nie mam większego zaufania.

— Obawiasz się zapewne, że list może ułatwić pochwylenie mordercy? — zapytał адвокат.

— Nie — brzmiała zdecydowana odpowiedź. — A zresztą nie obchodzą mnie dalsze losy Hyde'a. Skończyłem z nim raz na zawsze. Dbam tylko o własną opinię, nie chciałbym być wmieszany w tę ohydłą sprawę.

Pan Utterson zadumał się na chwilę. Był trochę zdziwiony samolubstwem doktora, zarazem jednak doświadczył pewnej ulgi.

— Dobrze — powiedział wreszcie. — Pokaż no mi ten list.

Charakter pisma był dziwaczny, litery proste. U dołu kartki widniał podpis „Edward Hyde”. Morderca donosił zwięźle, że rozporządza niezawodnym i najzupełniej pewnym sposobem ucieczki, a jego dobrodziej, doktor Henryk Jekyll, któremu od dawna tak niegodnie płaci za tysiączne łaski, może nie obawiać się o jego skórę. List rzucał na dziwaczny przyjaźń światło lepsze, niż należało oczekiwać, toteż stary prawnik doznał pewnej ulgi, a nawet wstyd mu się zrobiło niektórych dawnych podejrzeń.

— Masz kopertę? — zapytał.

— Nim pomyślałem, co robię, zdążyłem ją spalić — odrzekł doktor Jekyll: — Ale i tak nie miała stempla pocztowego. List doręczył posłaniec.

— Czy mam zabrać ten dokument i przechować bezpiecznie? — padło znów pytanie.

— Rób, jak chcesz. Przestałem sobie ufać.

— Hm, muszę się zastanowić — powiedział pan Utterson. — A teraz, Jekyll, jeszcze jedno. To Hyde podyktował warunki testamentu, prawda? Chodzi mi o klauzulę o nie wyjaśnionym zniknięciu.

Doktor wzdrygnął się, jak gdyby był bliski omdlenia, zacisnął blade wargi i bez słowa skinął głową.

— Wiedziałem o tym — mruknął адвокат. — Oczywiście zamierzał cię zamordować. Cudem się wywinąłeś.

— To jeszcze nie wszystko, Utterson! To nie wszystko! Dostałem również nauczkę. O Boże! — jęknął i na moment ukrył twarz w dłoniach. — Dostałem straszną, potworną nauczkę!

Wychodząc z domu przyjaciela stary prawnik zmarudził chwilę i zamienił kilka słów z Poolem.

— Aha, dobrze, że sobie w porę przypomniałem — zagadnął służącego. — Ktoś przyniósł dzisiaj list. Co to był za posłaniec?

Ale Poole odpowiedział stanowczo, że nie odbierał żadnej korespondencji prócz kilku okólników nadesłanych pocztą.

Niespodziewana wiadomość odnowiła najgorsze obawy pana Uttersona. Niewątpliwie list trafił do domu przez drzwi laboratorium, a może nawet został napisany w gabinecie. Jeżeli było tak istotnie, całą sprawę należało głębiej przemyśleć i potraktować z wielką ostrożnością. W powrotnej drodze адвокат spotykał licznych gazeciarzy, którzy uganiając się po chodnikach, chrypli od wrzasku:

„Dodatek nadzwyczajny! Bestialskie morderstwo członka Parlamentu!”

Pismo zawierało mowę pogrzebową poświęconą pamięci jego klienta i przyjaciela, a pan

Uttersson nie mógł opędzić się trwodze, że dobre imię drugiego zostanie wciągnięte w wir plugawego skandalu. Stary prawnik musiał powziąć ważną i drażliwą decyzję, toteż choć zazwyczaj polegał na własnym zdaniu, odczuł potrzebę rozumnej rady. O radę taką nie myślał jednak prosić wyraźnie: chciał ją złowić mimochodem.

Wkrótce zasiadł wygodnie przed swoim kominkiem, a po drugiej stronie, naprzeciwko pracodawcy, zajął miejsce pan Guest, pierwszy dependent. Pomiędzy nimi, w odpowiedniej odległości od ognia, stała flaszka bardzo starego wina, które przez lata dojrzewało w mrocznej piwnicy domu pana Utterssona. Leniwa mgła spowijała nadal skrzydłami ociekający wilgocią Londyn, latarnie błyszczały niczym karbunkuły. Mimo chmur opadających na ziemię odgłosy sunącego głównymi arteriami wielkowiejskiego życia nadciągały z dala niby szum potężnego wichru. Ale w zacisznym pokoju przy kominku wesoło było i pogodnie. We flaszcze młode kwasy stopniały od dawna, a szlachetny płyn zmienił cesarską purpurę na łagodniejszy odcień czerwieni, podobnie jak witraże z upływem czasu nabierają bardziej pastelowych odcieni. Czar gorących jesiennych dni na porośniętych winoroślą słonecznych wzgórzach dobywał się na wolność i rozpraszał gęste mgły Londynu. Stary prawnik rozpogadzał się bezwiednie. Nie było na świecie człowieka, przed którym miałby mniej tajemnic niż przed swoim dependentem; prawdę rzekłszy, nie wiedział, ile zamierzonych sekretów zdołał ustrzec. Guest często w ważnych sprawach odwiedzał doktora Jekylla, znał Poole'a, musiał słyszeć o dziwnym zamowieniu pana Hyde'a, niewątpliwie zatem wyciągał jakieś wnioski. Czy wobec tego nie będzie najrozsądniej pokazać list zaufanemu pomocnikowi? Guest, znawca i wytrawny sędzia charakterów pisma, będzie tym mile polectany. A zresztą to człowiek z głową na karku, więc trudno sobie wyobrazić, by po przeczytaniu osobliwego dokumentu nie rzucił roztropnej uwagi, która może posłużyć za drogowskaz na przyszłość.

— Smutna sprawa z tym sir Danversem Carew — rozpoczął pan Uttersson.

— Istotnie, panie mecenasie — zgodził się Guest. — Wzbudziła powszechny żal. Mordercą jest niewątpliwie wariat.

— Właśnie w tej kwestii pragnąłbym usłyszeć pańskie zdanie. Mam dokument skreślony ręką tego człowieka. Oczywiście to ściśle między nami, bo dotąd jeszcze nie wiem, jak postąpię. Cała historia jest co najmniej paskudna. Ale oto list. Autograf zbrodniarza powinien pana zainteresować.

Dependentowi oczy zajaśniały. Zerwał się z fotela, lecz zaraz usiadł i wziął się do wertowania listu pana Hyde'a.

— Nie, panie mecenasie, ten człowiek nie jest szalony — orzekł wreszcie — ale ma dziwny, bardzo dziwny charakter pisma.

— I to nie tylko pisma — uzupełnił adwokat. W tej chwili do pokoju wszedł służący z listem.

— Czy to nie od doktora Jekylla? — zapytał pan Guest. — Zdawało mi się, że poznałem jego pismo. Coś poufnego, panie mecenasie?

— Skąd znowu! Tylko zaproszenie na obiad. Chce pan przeczytać?

— Poproszę na momencik. Bardzo dziękuję, panie mecenasie.

Z tymi słowy dependent położył ćwiartki papieru jedną obok drugiej i jął je pilnie porównywać.

— Dziękuję — odezwał się po chwili, zwracając listy pracodawcy. — Doprawdy, panie mecenasie, wyjątkowo interesujące autografy.

Zapanowała cisza. Pan Uttersson prowadził jakąś wewnętrzną walkę, potem zapytał nagle:

— Panie Guest, dlaczego porównywał pan te listy?

— Ponieważ, panie mecenasie — odparł zagadnięty — dostrzegłem zdumiewające podobieństwa. Niektóre litery są niemal identyczne, tylko pisane inaczej pochylonym piórem.

— Zagadkowa historia — mruknął pan Uttersson.

— Tak, panie mecenasie. Dostyc zagadkowa — przyznał dependent.

— Chyba nie powiem nic o liście Hyde'a — podjął adwokat.

— W zupełności pana mecenas rozumie.

Tegoż wieczora, gdy stary prawnik pozostał sam, ukrył list w panczernej kasie, aby od tej chwili nigdy po niego nie sięgać.

Nic nie pojmuję. Henryk Jekyll fałszerzem listu mordercy — pomyślał i chłód zmroził mu krew w żyłach.

Osobliwy przypadek Doktora Lanyona

Dni mijały. Za ujęcie mordercy wyznaczono nagrodę w kwocie kilku tysięcy funtów, bo śmierć sir Danversa została uznana za zbrodnię przeciwko narodowi i państwu. Ale pan Hyde był nieuchwytny dla policji i przepadł tak, jak gdyby nigdy nie istniał. Na światło dzienne wychodziły pewne szczegóły z jego przeszłości — zawsze haniebne. Opowiadano dziwy o jego okrucieństwach, zimnych zarazem i namiętych, o niecnym życiu, kompaniach spod ciemnej gwiazdy i nienawiści, którą budził wokół siebie. Nikt jednak nie pisał słówkiem o aktualnym miejscu pobytu zbrodniarza. Zniknął z powierzchni ziemi od chwili, gdy bezpośrednio po morderstwie odwiedził nad ranem własne mieszkanie w Soho.

Stopniowo, z biegiem czasu, pan Utterson uspokajał się, otrząsał z przerażenia i grozy. Według niego zniknięcie pana Hyde'a okupiło z nawiązką zgon sir Danversa Carew; wraz z ustąpieniem złych wpływów doktor Jekyll rozpoczął nowe życie. Wyszedł z odosobnienia, wznowił dawne stosunki z przyjaciółmi, znowu stał się uroczym gospodarzem i pożądanym gościem, a ponadto miłosierne uczynki, którymi zawsze słynął, uzupełniał szczerą pobożnością. Był czynny, dużo czasu spędzał na świeżym powietrzu, robił wiele dobrego. Twarz rozpogodziła mu się, jak gdyby ogrzewało ją wewnętrzne ciepło i przez dwa z górą miesiące nic nie zakłócało spokoju Henryka Jekylla.

Ósmego stycznia pan Utterson był u doktora na obiedzie w ścisłym gronie. W przyjęciu uczestniczył również Lanyon, a gospodarz spoglądał kolejno na swych gości tak jak niegdyś, gdy stanowili nierozłączną trójkę. Dwunastego i czternastego stycznia starego prawnika nie wpuszczono do przyjaciela.

— Pan doktor nie wychodzi od siebie — oznajmił Poole — i nikogo nie przyjmuje.

Piętnastego nie powiodła się trzecia próba, a że adwokat przez ostatnie dwa miesiące przywykł do niemal codziennych spotkań z Jekylllem, zaniepokoił się nieoczekiwanym nawrotem samotnictwa. Nazajutrz wieczorem zaprosił na obiad pana Guesta, a następnego dnia wybrał się do doktora Lanyona. Tam nie odprawiono go wprawdzie od drzwi, kiedy jednak zobaczył gospodarza, zdumiał się jego okropnie zmienionym wyglądem. Znakomity lekarz miał wypisany na twarzy wyrok śmierci. Zestarzał się nagle, schudł i wyłysiał, a jego pełna, rumiana twarz pobladła i zmizerniała. Lecz te widome oznaki fizycznego wyniszczenia nie przerażyły pana Uttersona tak bardzo, jak wyraz oczu i zachowanie Lanyona, świadczące o przerażeniu i duchowej rozterce. Adwokat nie podejrzewał przyjaciela o tak wielką obawę w obliczu śmierci, doszedł jednak do wniosku, że to nic innego.

Cóż, jest lekarzem — pomyślał. — Zdaje sobie sprawę ze swego stanu i wie, że dni ma policzone. Widać to więcej, niż znieść potrafi.

Kiedy jednak napomknął coś o fatalnym wyglądzie, doktor Lanyon oznajmił z całym spokojem, że jest skazany na śmierć.

— Doznałem wstrząsu — rzekł — i nigdy nie przyjdę do siebie. Cóż, to kwestia tygodni. Życie było przyjemne. Kochałem je, mój drogi. Tak, kochałem je dawniej. Chwilami myślę, że gdybyśmy wszystko wiedzieli, chętnie odchodzilibyśmy w nieznanne.

— Jekyll też choruje — powiedział stary prawnik. — Widziałeś go ostatnio?

Na te słowa lekarz skrzywił się i podniósł drżącą rękę.
— Nie chcę go więcej widzieć! Nie chcę słyszeć o doktorze Jekyllu! — zawołał drżącym głosem.
— Skończyłem z nim raz na zawsze i proszę cię, mój drogi, oszczędź mi wszelkich uwag na temat osoby, która dla mnie umarła.
— Hm... hm... — mruknął pan Utterson i po chwili namysłu zapytał: — Czy nie mógłbym mu jakoś pomóc? Rozumiesz, jesteśmy trójką bardzo starych przyjaciół. Życia nam nie starczy na zawiązanie podobnych węzłów.
— Nic dla niego nie można zrobić — odparł Lanyon. — Sam go zresztą zapytaj.
— Ale on nie chce mnie przyjąć — poskarżył się adwokat.
— Nie dziwię się, Utterson. Niegdyś, po mojej śmierci, być może poznasz prawdę. Dzisiaj nic ci nie powiem. Nie mogę. A tymczasem jeżeli mógłbyś zostać ze mną i pogadać o innych sprawach, zostań, na miłość boską. Jeżeli jednak tylko ten temat zaprzęta cię bez reszty, lepiej idź sobie, bo to nad moje siły.

Po powrocie do siebie stary jurysta usiadł i napisał list do doktora Jekylla. Biadał, iż zatrzaśnięto przed nim drzwi przyjaznego niegdyś domu, i pytał o przyczynę nieszczęsnego zerwania z Lanyonem. Następnego dnia otrzymał obszerną odpowiedź naszpikowaną patetycznymi zwrotami, miejscami zupełnie niejasną. Nieporozumienie z Lanyonem było nie do naprawienia.

Nie winię naszego starego przyjaciela — pisał doktor Jekyll — wszelako podzielam jego opinię, iż nie powinniśmy się widywać. Od tej pory zamierzam wieść żywot w absolutnym odosobnieniu. Nie dziw się, proszę, i nie powątpiewaj o dawnej przyjaźni, jeżeli drzwi mojej siedziby będą często zamknięte — nawet dla ciebie. Musisz pozwolić mi kroczyć moją mroczną drogą. Z własnej winy ściągnąłem na siebie karę i niebezpieczeństwo, którego nie wolno mi nazwać. Jestem nie tylko arcygrzesznikiem, ale również arcycierpiętnikiem. Nie wyobrażałem sobie, że na tej ziemi znajdzie się miejsce dla tak potwornego bólu i strachu, a ty, drogi Utterson, możesz uczynić tylko jedno, by ulżyć trochę ciężkiej doli przyjaciela: uszanuj moje milczenie.

Adwokat był zaskoczony. Ponury cień Hyde'a zniknął. Jekyll wrócił do dawnych obyczajów i zamiłowań, przed tygodniem przyszłość uśmiechała się do niego wróżąc promienną i zającą starość. Tymczasem ów spokój ducha, pogoda i cały sens życia runęły w jednej chwili i bez uzasadnionego powodu. Tak wielka i nagła zmiana mogła wskazywać na obłąd, lecz postawa i słowa Lanyona dowodziły, że tajemniczych przyczyn należy szukać głębiej.

W kilka dni później doktor Lanyon zachorował obłóźnie i umarł przed upływem dwóch tygodni. Wieczorem, po pogrzebie, który wzruszył go niezmiernie, pan Utterson zamknął się na klucz w swojej kancelarii. Siedział tam jakiś czas przy mdłym blasku świeczki, następnie zaś dobył i położył przed sobą kopertę adresowaną ręką i zalakowaną pieczęcią zmarłego przyjaciela.

„POUFNE

Do rąk własnych J. G. Uttersona

W przypadku jego wcześniejszego zgonu spalić nie czytając”.

Należy przyznać, że ta instrukcja brzmiała groźnie, więc stary jurysta drżał na myśl o treści zawartego w kopercie dokumentu.

Dziś pochowałem jednego przyjaciela — myślał — a to może mnie kosztować drugiego.

Porzucił jednak obawy (które uznał za nielojalność) i złamał pieczęć. Wewnątrz była druga koperta, również zalakowana i opatrzona napisem: "Nie otwierać przed śmiercią lub niewytłumaczonym zniknięciem doktora Henryka Jekylla".

Utterson nie wierzył własnym oczom. Niewytłumaczone zniknięcie! I tutaj, podobnie jak w szaleńczej ostatniej woli — od dawna zresztą zwróconej autorowi — niewytłumaczone zniknięcie

łączyło się z osobą doktora Henryka Jekylla. Ale testament zrodził się w mrokach wyobraźni tego straszego człowieka — Hyde'a. Cel był aż nadto przejrzysty i jasny. Jaki sens wszakże mają te same słowa pisane ręką doktora Lanyon'a? Srogie pokusy opadły powiernika. Pragnął zlekceważyć zakaz i niezwłocznie sięgnąć do dna powikłanej tajemnicy. Ale honor zawodowy i zaufanie zmarłego przyjaciela były wystarczającym hamulcem, toteż koperta spoczęła na dnie pancерnej kasy, w najbardziej sekretnej skrytce.

Inna sprawa pokonać ciekawość, inna przemóc ją całkowicie; należy więc mniemać, że od owego pamiętnego dnia pan Utterson nie tak gorąco pragnął towarzystwa pozostałego przy życiu druha. Myślał o nim życzliwie, lecz z niepokojem i obawą. Co prawda chodził doń w odwiedzin, lecz doznawał pewnej ulgi, gdy go nie przyjmowano. Wołał rozmawiać z Poole'em na ganku, przy odgłosach wielkomijskich gwarów, niż stanąć twarzą w twarz z dobrowolnym pustelnikiem zamkniętym w mrokach opustoszałego domu. Nowiny Poole'a nie były pocieszające. Doktor przesiaduje coraz więcej w gabinecie za laboratorium, a ostatnio często tam nawet sypia. Jest przygnębiony, milczący, "nigdy nic nie czyta; najwidoczniej gryzie się wewnątrz i nad czymś rozmyśla.

Utterson przywykł do jednakich wciąż meldunków kamerdynera i stopniowo zaczął odwiedzać przyjaciela coraz rzadziej.

Pod oknem

Podczas zwykłej niedzielnej przechadzki panowie Utterson i Enfield zawędrowali znowu na ową boczną uliczkę. Kiedy znaleźli się naprzeciw wiadomych drzwi, przystanęli nagle i obydwaj spojrzeli w ich kierunku.

— Ha, historia skończona — odezwał się Enfield. — Nie zobaczymy więcej pana Hyde'a.

— Mam nadzieję — odparł Utterson. — Mówiłem ci kiedyś, że go raz widziałem i że, podobnie jak ty, poczułem dziwną odrazę?

— Nie mogło się obejść bez tego — powiedział pan Enfield. — Ale ty musisz mnie uważać za kapitalnego osła. Nie domyśliłem się wtedy, że te drzwi to tylne wejście do rezydencji doktora Jekylla. Ba, nawet później odkryłem to po trosze z twojej winy.

— A więc dokonałeś odkrycia! — zawołał stary prawnik. — Ponieważ już się to stało, możemy skrócić w zaułek i spojrzeć w te okna. Prawdę mówiąc, bardzo się niepokoję o biednego Jekylla. Mam wrażenie, iż towarzystwo przyjaciela (bodaj przez ścianę) wyszłoby mu na dobre.

Chociaż wysoko w górze niebo płonęło jeszcze słonecznym blaskiem, w wilgotnym, chłodnym zaułku panował cieniasty półmrok. Środkowe z trzech okien było nieco uchylone, za nim zaś siedział doktor Henryk Jekyll — smutny i zatroskany niby więzień, co znikąd nie wyglądał pociechy.

— O, Jekyll! — zawołał zdziwiony adwokat. — Jakże się cieszę! Widzę, że ci lepiej.

— Gorzej, mój drogi — odparł sucho lekarz. — Nieporównanie gorzej. Chwała Bogu, niedługo już pociągnę.

— Za dużo przesiadujesz w domu — podjął Utterson. — Trzeba spacerować, pobudzać krążenie krwi, jak my z panem Enfieldem. Pozwolisz... To mój kuzyn, Enfield. Doktor Jekyll, Ryszardzie. Rusz się choćby zaraz. Weź kapelusz. Chodź z nami.

— Zaczynasz — westchnął doktor. — Posłużyłaby mi przechadzka, ale... Nie, nie, nie! To niemożliwe! Za nic się nie odważę. Doprawdy, Utterson, miło mi, że cię widzę. Zrobiłeś mi wielką przyjemność. Chętnie poprosiłbym na górę ciebie i pana Enfielda, ale ta nora nie nadaje się do przyjmowania gości.

— W takim razie — odparł wesoło stary prawnik — nie mamy wyboru. Zostaniemy na miejscu i utniemy z tobą rozmówkę.

— O to właśnie zamierzałem panów prosić — powiedział lekarz i uśmiechnął się pogodnie.

W tej chwili jednak uśmiech znikł i ustąpił miejsca wyrazowi takiej grozy i rozpacz, że krew zastygła w żyłach dwóch przyjaciół stojących na dole. Twarz doktora widzieli przez mgnienie oka, bo okno opadło z trzaskiem, lecz to mgnienie wystarczyło w zupełności. Odwrócili się i jak niemi opuścili mroczny zaułek. Idąc cichą uliczką milczeli również i dopiero na pobliskiej arterii, która nawet w niedzielę pulsowała życiem, pan Utterson zerknął z ukosa na krewniaka i w odpowiedzi otrzymał spojrzenie pełne trwogi. Obydwaj byli śmiertelnie bladzi.

— Zmiłuj się, Boże wszechmogący — jęknął stary prawnik. — Zmiłuj się nad nami!

Enfield smutnie pochylił głowę i szedł dalej bez słowa.

Ostatnia noc

Pewnego wieczora pan Utterson wypoczywał po obiedzie przed kominkiem, gdy zaskoczyła go wizyta Poole'a.

— Słowo daję, Poole! Co cię sprowadza? — zawołał, lecz przyjrząwszy się baczniej kamerdynerowi, dodał: — Co się stało? Pan doktor chory?

— Panie mecenasie — odpowiedział służący. — Bardzo niewyraźna sprawa.

— Siadaj. Masz tu kieliszek wina. Nie śpiesz się. Powiedz wyraźnie, o co ci chodzi.

— Zna pan mecenas obyczaj doktora — podjął Poole. — Wie pan, że zamyka się na cztery spusty. Otóż znowu zamknął się w gabinecie i, panie mecenasie, wcale mi się to nie podoba. Naprawdę wcale. Boję się, panie mecenasie.

— Mój kochany — rzekł adwokat. — Uspokój się i mów wyraźnie. Czego się właściwie boisz?

— Boję się od jakiegoś tygodnia — odparł Poole puszczając pytanie mimo uszu. — Dłużej już nie wytrzymam!

Wygląd wiernego sługi aż nadto potwierdzał jego słowa. Poole zachowywał się nerwowo i tylko raz, kiedy oznajmił panu Uttersonowi o swym strachu, spojrzał mu w oczy. Siedział ponury, trzymając na kolanie nie ruszony kieliszek wina i wpatrywał się uparcie w kąt posadzki.

— Dłużej już nie wytrzymam — powtórzył.

— No, śmiało, Poole — podjął gospodarz. — Widzę, że coś cię dręczy, że naprawdę stało się coś złego. Spróbuj mi wytłumaczyć, o co właściwie chodzi.

— Myślę, że to nieczysta sprawa — bąknął kamerdyner.

— Nieczysta sprawa! — krzyknął adwokat zdenerwowany własnym przestraczem. — Jaka nieczysta sprawa? Co ten człowiek plecie?

— Nie bardzo mam odwagę prosić — jęknął kamerdyner — ale gdyby pan mecenas raczył pójść ze mną i... i przekonać się na własne oczy...

W odpowiedzi pan Utterson wstał, chwycił płaszcz i kapelusz. Bardzo się zdziwił wyrazem ulgi, który ożywił zatroskaną twarz gościa, a jeszcze bardziej faktem, że wierny sługa odstawił nietknięty kieliszek.

Noc była zimna, wietrzna, prawdziwie marcowa. Sierp księżyca leżał na grzbiecie, jak gdyby obaliła go zawierucha gnająca szybko strzępy białych, pierzastych obłoków. Wiatr porywał słowa i barwił policzki, a ponadto — zdawać się mogło — zmiatał przechodniów; pan Utterson nigdy nie widział równie wyludnionych ulic Londynu. Dokuczała mu ta pustka, bo był w nastroju, kiedy człowiek gorąco pragnie widoku i sąsiedztwa bliźnich. Mimo wewnętrznej walki przytłaczała go brzemieniem świadomość nieszczęścia. Wicher hulał po placu, podnosił tumany pyłu, a cienkie

drzewa na skwerku smagały żelazne ogrodzenie lub siebie nawzajem. Poole, który przez całą drogę wyprzedzał adwokata o parę kroków, zrównał się z nim teraz i nie bacząc na kąśliwe zimno zdjął kapelusz, aby czerwoną chustką osuszyć czoło. Chociaż szli szybko, nie była to rosa zmęczenia, lecz zimny pot bezbrzeżnej trwogi. Twarz miał trupioblada, mówił schrypniętym, przerywanym głosem.

— Panie... mecenasie... jesteśmy na miejscu... Daj Boże, by... nie czekało nas.... nic złego.

— Amen — dorzucił pan Utterson poważnym tonem.

Kamerdyner zastukał cicho. W odpowiedzi uchylily się drzwi zabezpieczone łańcuchem, a jakiś głos zapytał z wnętrza domu:

— Czy to pan Poole?

— Ja, ja! Otwieraj! Prędejj!

Hall był jasno oświetlony, na kominku buchał suty ogień, a w jego kręgu cała służba — kobiety i mężczyźni — stała słoczona niby trzoda owiec. Na widok starego jurysty pokojowa zachlipała histerycznie, a kucharka wrzasnęła: „Pan Utterson! Chwalić Boga!” i skoczyła naprzód, jak gdyby chciała porwać w ramiona wybawcę.

— Co się tutaj wyrabia? — rzucił gniewnie adwokat. — Dlaczego wszyscy tkwicie w hallu? Co za nieporządek, niesubordynacja? Na pewno wasz pan nie byłby zadowolony.

— Wszyscy się boją — bąknął Poole.

Nastąpiła głucha cisza, tylko pokojówka zaczęła głośniejsz szlochać.

— Milcz, głupia! — zgromił ją kamerdyner z furią świadcząca o zdenerwowaniu; lecz na donośny lament dziewczyny całe zgromadzenie poruszyło się i z grobowymi minami zaczęło zmierzać do drzwi w głębi hallu.

— A teraz — ciągnął Poole zwracając się do chłopca kredensowego — podaj mi świecę. Trzeba z tym skończyć wreszcie.

Następnie poprosił pana Uttersona, by zechciał za nim pójść, i wyprowadził gościa do ogrodu na tyłach domu.

Panie mecenasie — mówił po drodze. — Proszę poruszać się możliwie jak najciszej. Chcę, żeby pan dobrze słyszał, nie będąc jednocześnie słyszany. I jeszcze jedno. Gdyby przypadkiem on poprosił pana do gabinetu, niech pan mecenas za nic nie wchodzi.

Ta nieoczekiwana przestroga tak wstrząsnęła nerwami pana Uttersona, że biedak omal nie utracił równowagi ducha. Opanował się wszakże, pewnym krokiem wszedł za przewodnikiem do nieprzyjemnej budowli i przez stare prosektorium, zaśmiecone szczątkami skrzyń i butelkami, pośpieszył w kierunku schodów. Tam kamerdyner nakazał mu gestem, by stanął na uboczu i słuchał, sam zaś postawił świecę i przywołując resztki odwagi wszedł na stopnie. Drżącą ręką zastukał do obitych czerwonym wojsłokiem drzwi gabinetu.

— Pan Utterson chciałby widzieć się z panem doktorem — zawołał i jeszcze raz poprosił na migi, by adwokat pilnie nastawił uszu.

— Powiedz panu Uttersonowi, że nikogo nie mogę przyjąć — odpowiedziano zza drzwi żalonym tonem.

— Dobrze, panie doktorze.

W głosie Poole'a brzmiała nuta jak gdyby triumfu. Wierny sługa znów ujął świecę i przez podwórko zaprowadził adwokata do obszernej kuchni, gdzie ogień od dawna wygasł, a na podłodze mrowiły się karaluchy.

— Panie mecenasie — zapytał spoglądając Uttersonowi w oczy — czy to był głos mojego pana?

— W każdym razie bardzo zmieniony — odparł zagadnięty i chociaż pobladł znacznie, nie odwrócił wzroku.

— Zmieniony! — powtórzył kamerdyner. — Dwadzieścia lat służby to trochę za dużo, bym się

mógł mylić. Mojego pana tam nie ma! Coś się z nim stało. Zniknął tydzień temu. Wtedy słyszałem go ostatni raz. Wzywał imienia bożego. Płakał. A k t o jest w gabinecie) panie mecenasie? Kto czy co? I dlaczego tam siedzi? To, panie mecenasie, coś, co woła o pomstę do nieba!

— Dziwna historia, Poole. Dziwna i szalona, mój drogi — odrzekł pan Utterson przygryzając wargi. — Załóżmy, że twoje domysły są słuszne, że doktor naprawdę... no, powiedzmy, został zamordowany. Czemu jego zabójca pozostaje na miejscu? Nie! Ten pomysł nie wytrzymuje krytyki. Sprzeciwia się zdrowemu rozsądkowi.

- Cóż, panie mecenasie — podjął kamerdyner — ciężko pana przekonać, ale myślę, że mi się uda. Trzeba panu wiedzieć, że ten czy to, co od tygodnia mieszka w gabinecie, po całych dniach i nocach dopomina się o jakieś lekarstwo i nic więcej. On, to znaczy mój pan, też miał zwyczaj wypisywać rozkazy i rzucać kartki na schody. Ale zdarzało się to rzadko. A teraz przez okrągły tydzień nic tylko papier i papier. Nawet jedzenie, które zostawiam na stopniach, pod samymi drzwiami, znika dopiero, jak nikt nie patrzy. Proszę teraz uważać, panie mecenasie. Co dzień, ba! dwa albo trzy razy dziennie znajduję zamówienia albo reklamacje i jak głupi biegam po wszystkich hurtowniach aptecznych w Londynie. Niech tylko wrócę z tym medykamentem, zaraz znajdzie się polecenie, żeby go zwrócić, bo jest niezupełnie czysty, albo i zamówienie do jakiejś innej firmy. Nie wiem po co, panie mecenasie, ale ten lek jest bardzo potrzebny w gabinecie.

— Masz może taki list? — zapytał stary jurysta.

Poole sięgnął do kieszeni i wręczył panu Uttersonowi zmiętą kartkę, ten zaś przysunął się do świecy i przy mdłym płomyku przeczytał:

— Doktor Jekyll przesyła panom Maw wyrazy szacunku i uprzejmie komunikuje, że dostarczona przez nich ostatnio próbka jest zanieczyszczona i nie nadaje się do zamierzonego celu. Przypominam, że w roku 18.. nabyłem u Panów stosunkowo znaczną ilość tego samego środka, obecnie zaś proszę gorąco o dolożenie wszelkich starań, by dostarczyć mi niezwłocznie bodaj nieznaczną dozę poprzedniej jakości. Ze względu na wagę sprawy cena nie odgrywa roli.

Do tego momentu list był stosunkowo spokojny. Dalej jednak widniał duży kleks, jak gdyby nerwy zawiodły piszącego, i reklamacja kończyła się rozpaczliwym wykrzyknikiem:

„Na miłosierdzie boskie! Wynajdźcie bodaj szczyptę!”

— Osobliwy list — mruknął pan Utterson i zaraz dorzucił szorstko: — Dlaczego otwarty?

— Subiekt od panów Maw zirytował się i rzucił mi w nos tę kartkę — objaśnił Poole.

— Niewątpliwie to pismo doktora — podjął adwokat. — Jak sądzisz, Poole?

— Tak mi się też zdawało — przyznał kamerdyner, lecz w tej chwili zmienił ton i zawołał: — Co tam pismo! Widziałem go przecież!?

— Widziałeś! No i...?

— Ano tak, panie mecenasie — podjął Poole. — Niespodziewanie wszedłem z ogrodu do starego prosektorium. On wymknął się na moment z gabinetu, żeby poszukać tego medykamentu, czy Bóg tam wie czego. Myszkował właśnie w kącie między próżnymi skrzynkami. Jak mnie usłyszał, podniósł głowę, wrzasnął przeraźliwie i czmychnął na schody. Tylko drzwi trzasnęły. Ach, panie mecenasie! Widziałem go przez chwilę, ale to wystarczyło, żeby włosy stanęły mi dęba. Jeżeli to był mój pan, czemu, u Boga Ojca, miał maskę na twarzy? Jeżeli to był mój pan, to dlaczego piszczał niby szczur i umykał przede mną? Długo mu przecież służyć. A zresztą... — Urwał nagle i dłonią przesunął po czole.

— Bardzo to wszystko zagadkowe — odparł stary jurysta — wydaje mi się jednak, że zaczynam się domyślać. Posłuchaj, Poole. Twój pan cierpi na jakąś okropną chorobę, co nie tylko torturuje, lecz również oszpeca chorego. Stąd, jak mniemam, zmiana głosu, maska na twarzy i unikanie przyjaciół; stąd gorączkowe poszukiwanie leku, w który nieszczęśnik wierzy i spodziewa się całkowitego uleczenia. Daj Boże, by się nie łudził. Daj Boże! Oto moje

wnioski, smutne co prawda i budzące trwogę, ale proste, naturalne, logiczne... Poza tym uwalniają nas od lęku przed zbrodnią lub czymś nadprzyrodzonym.

— Panie mecenasie! — zawołał śmiertelnie blady kamerdyner. — To, co widziałem, nie było wcale moim panem! Nie mam najmniejszej wątpliwości. Mój pan — tu obejrzał się trwożnie i począł mówić szeptem — był słusznego wzrostu, dobrze zbudowany, a tamto: pokurcz, karzeł!

Pan Utterson próbował oponować, ale Poole krzyknął:

— Ach, panie mecenasie! Myśli pan, że po dwudziestu latach służby mógłbym nie poznać doktora Jekylla? Że nie wiem, dokąd on sięga głową, kiedy mija drzwi gabinetu? Przez pół życia widywałem go nie raz i nie dwa razy na dzień! Nie, panie mecenasie. Ten stwór w masce nie był moim panem. Bóg wie, co to takiego, ale na pewno nie doktor Jekyll. Głos serca wciąż mi mówi, że mój pan zamordowany!

— Jeżeli naprawdę jesteś takiego zdania, za obowiązek swój uważam rozwikłanie zagadki. Chciałbym uszanować wstyd i wolę twojego pana, zbija mnie jednak z tropu list, który na pozór dowodzi, iż doktor Jekyll żyje. Mimo wszystko jednak sumienie nakazuje mi wyważyć drzwi.

— Ach, panie mecenasie! — zawołał kamerdyner. — To racja! Święta racja!

— Powstaje jednak kwestia, kto ma to zrobić? — podjął pan Utterson

— Jak to? Naturalnie pan mecenas ze mną.

— Słusznie, Poole. Pamiętaj, cokolwiek by się stało, moja głowa, byś ty nie ucierpiał.

— W prosektorium jest siekiera, a pan może wziąć z kuchni pogrzebacz — ożywił się wierny sługa.

Pan Utterson wziął prymitywne, lecz ciężkie narzędzie i przez chwilę ważył je w rękę.

- Zdajesz sobie sprawę, Poole — zapytał spoglądając słudze w oczy — że narażamy się na niebezpieczeństwo?

— A pewnie, pewnie, panie mecenasie.

— Dobrze zatem, abyśmy byli ze sobą szczerzy — podjął stary jurysta. — Obydwaj myślimy więcej, niż mówimy. Zrzućmy ten ciężar. Powiedz mi otwarcie, czy poznałeś to tajemnicze stworzenie w masce?

— Widzi pan mecenas, uciekało co tchu i tak było zgięte, że przysiąc bym nie mógł. Ale, jeżeli pan zapyta, czy to był pan Hyde... odpowiem tak! Tak mi się przynajmniej zdawało. Cóż, wzrostem się nie różniło i miało takie same zwinne, lekkie ruchy. A zresztą któż inny mógłby zakraść się przez drzwi laboratorium? Niech pan nie zapomina, że w dniu śmierci sir Danversa Carew pan Hyde na pewno miał klucz przy sobie. Ale nie na tym koniec. Nie wiem, czy pan mecenas zetknął się kiedy z panem Hyde'em?

— Tak — odparł prawnik. — Raz z nim rozmawiałem.

— A więc musi pan wiedzieć, podobnie jak my wszyscy, że tego człeka otacza coś dziwnego... coś takiego, że aż się zimno robi... Nie wiem, jak to wyrazić, panie mecenasie... Ale ile razy go spotkałem, mrówki chodziły mi po grzbiecie.

— Przyznaję, że ja również odczuwałem coś w tym sensie — mruknął pan Utterson.

— A widzi pan mecenas! Otóż jak stworzenie w masce wyskoczyło spod skrzynek i niby małpa czmychnęło do gabinetu, poczułem takie właśnie mrówki na plecach. Ach, panie mecenasie! Wiem, że to żaden dowód. Przecież nie jestem zupełnym nieukiem. Ale człowiek ma swoje przecucia i gotówem przysiąc na Ewangelię, że to był pan Hyde.

— Tak, tak — powiedział adwokat. — Od dawna obawiałem się czegoś w tym rodzaju. Zło leżało u fundamentów tej przyjaźni. Zło musiało z niej wyniknąć. Tak jest, Poole! Masz słusność. Podejrzewam, że biedny Henryk zginął tragiczną śmiercią, a morderca (Bogu wiadomo dlaczego) zagnieździł się w pokoju ofiary. Nam powinna przypaść w udziale pomsta! Zawołaj Bradshawa.

Lokaj stawiał się wnet na wezwanie, chociaż blady był i roztrzęsiony.

— Trzymaj się, Bradshaw — powitał go adwokat. — Niepewność dręczy was wszystkich. Dobrze to rozumiem. Obecnie jednak chcemy rozwikłać zagadkę. My z Poole'em wyłamamy drzwi gabinetu. Jeżeli wszystko okaże się w porządku, całą odpowiedzialność biorę na własne barki. Jeżeli jednak coś stało się naprawdę i złoczyńca będzie próbował ucieczki, trzeba temu zapobiec. Bradshaw, weź do pomocy chłopca kredensowego. Uzbroicie się w tęgie kije i zajmiecie posterunki na ulicy, przed drzwiami laboratorium. Daję wam na to dziesięć minut.

Lokaj wyszedł, a pan Utterson spojrzął na zegarek.

— Nasza kolej, Poole — powiedział. — Do roboty!

Z tymi słowy ścisnął pod pachą pogrzebacz i pierwszy ruszył na podwórko. Tymczasem chmury przesłoniły księżyc i zrobiło się zupełnie ciemno. Nagłe podmuchy wiatru przenikały od czasu do czasu w głęboką studnię murów i chwiały płomieniami świecy. Prawie po omacku dwaj spiskowcy dotarli do starego prosektorium i tam usiedli, czekając właściwej pory. Z dala dochodził głuchy pomruk stolicy, lecz w bezpośredniej bliskości słychać było tylko odgłos szybkich, nerwowych kroków przemierzających gabinet tam i z powrotem.

— Cały dzień tak chodzi, panie mecenasie — szepnął Poole. — Cały dzień i większą część nocy! Ustaje tylko na chwilę, jak nowa próbka leku przyjdzie z jakiejś apteki. Tak, tak! Nieczyste sumienie to najgorszy wróg spoczynku. Ach, panie mecenasie! W każdym tym kroku czuć krew! Niech pan dobrze posłucha! Czy to chód mojego pana?

Echo powolnej przechadzki tam i z powrotem było dziwne, lekkie, jakieś nierytmiczne. Nie przypominało wcale odgłosu ciężkich, miarowych kroków doktora Henryka Jekylla. Utterson westchnął.

— Nie dobywają się stamtąd żadne inne odgłosy? — zapytał.

— Raz słyszałem płacz — odrzekł kamerdyner.

— Płacz? Jak to? — Nagły dreszcz wstrząsnął starym jurystą.

— Zawodzenie niby kobiety albo potępionej duszy. Wzięło mnie to za serce. Jak odchodziłem, samemu mi się chciało płakać.

Tymczasem dziesięć minut dobiegło końca. Poole wygrzebał siekiere pod stosu słomy i na najbliższym stole ustawił świecę, by im było jasno w czasie ataku. Obydwaj wstrzymali dech i postąpili w stronę drzwi, za którymi wciąż zakłócał ciszę nocną szelest przechadzki — tam i z powrotem, tam i z powrotem.

— Jekyll! Chcę się z tobą widzieć — zawołał donośnie adwokat i umilkł na moment, lecz nie otrzymał odpowiedzi. — Ostrzegam lojalnie! Mamy uzasadnione powody do obaw. Chcesz czy nie chcesz, musimy się zobaczyć. Zgodzisz się na to lub użyjemy siły!

— Uttersonie — odpowiedział płaczliwy głos. — Ulituj się, na miłosierdzie boskie!

— Ha! To nie głos Jekylla, lecz Hyde'a! — krzyknął adwokat. — Do drzwi, Poole!

Kamerdyner zamachnął się potężnie. Cios wstrząsnął starą budowlą, obite czerwonym filcem drzwi podskoczyły na ryglu i zawiasach. W gabinecie rozbrzmiał zwierzęcy wrzask śmiertelnej trwogi. Siekiera wznosiła się i opadała cztery razy. Deski trzeszczały, futryna dygotała w murze. Ale drzewo było twarde, a okucia wybornej roboty, toteż dopiero za piątym ciosem zamek puścił i porąbane drzwi padły na dywan w gabinecie.

Zdobywcy, jak gdyby oszołomieni krótkotrwałym hałasem i ciszą, która nagle zapanowała, cofnęli się i trwożnie zajrzeli do środka. Mieli przed sobą przestronny gabinet rozjaśniony ciepłym blaskiem lampy.

Ogień tańczył i huczał na kominku, czajnik nucił cieniutkim głosikiem, opodal zaś czekała zastawa do herbaty. Parę szuflad było otwartych. Na biurku papiery leżały w doskonałym ładzie. Zaciszenie i przytulnie. Gdyby nie oszklone szafki pełne medykamentów, rzekłbyś, najzwyczajniejszy pokój, jakich nie brak w Londynie.

Pośrodku leżał mężczyzna drgający jeszcze i dziwacznie powykręcany. Pan Utterson i Poole

zbliżyli się na palcach, odwrócili ciało na wznak i spojrzeli w twarz Edwarda Hyde'a. Miał na sobie ubranie o wiele za duże, miary doktora Jekylla. Mięśnie twarzy poruszały się, stwarzając pozór życia, lecz życie opuściło już ów kształt ludzki. Zgnieciona fiolka w dłoni i silny zapach gorzkich migdałów, unoszący się w powietrzu, powiedziały staremu juryście, iż ogląda zwłoki samobójcy.

— Za późno na ratunek lub karę — orzekł poważnie pan Utterson. — Hyde odszedł, by zdać sprawę z żywota. Pozostaje nam jedno: odszukać ciało twojego pana.

Stara budowla składała się właściwie z dwóch pomieszczeń. Prawie cały parter zajmowało oświetlone z góry prosekorium, gabinet zaś stanowił w głębi półpiętro i miał trzy okna z widokiem na zaułek. Z prosekorium do drzwi na boczną uliczkę wiodł korytarz połączony schodkami z drugim wejściem do gabinetu. Ponadto było tylko kilka ciemnych schowków i przestronna piwnica. Nie marnując czasu adwokat i kamerdyner jęli przetrząsać te zakątki. Ze schowkami skończyli szybko, gdyż stały pustką, a pył podnoszący się przy otwieraniu drzwi dowodził, że nikt nie zaglądał tam od dawna. W piwnicy leżały wprawdzie stopy rupieci, przeważnie z czasów znakomitego chirurga — poprzednika doktora Jekylla — ale misterna sieć pajęczyn niewątpliwie od lat pieczętowała wejście, a więc dalsze poszukiwania nie miałyby sensu. Nigdzie nie było śladu pana domu — żywego ani umarłego.

Poole tupnął w kamienną posadzkę korytarza i mruknął nasłuchując echa:

— Tutaj musi być pogrzebany.

— Albo uciekł — dodał adwokat i zbliżył się do drzwi wiodących na boczną uliczkę, by obejrzeć je z bliska.

Były zamknięte. W pobliżu na kamiennej płycie leżał klucz pokryty już rdzą.

— Chyba od dawna nikt go nie używał — powiedział pan Utterson.

— Używał! — powtórzył kamerdyner niby echo. — Nie widzi pan mecenas, że złamany? Zupełnie, jak gdyby go ktoś przygniótł obcasem.

— Aha — zdziwił się adwokat. — I nawet na pęknięciu zdążył zardzewieć. Nic nie pojmuję, Poole. Wracajmy do gabinetu.

Wymienili pełne lęku spojrzenia, bez słowa weszli na schodki i zerkając od czasu do czasu na nieruchome już zwłoki, poczęli dokładniej przetrząsać gabinet. Na jednym ze stołów zauważyli kilka szklanych spodków z różnymi dozami białego proszku. Wyglądało to tak, jak gdyby nieszczęsny doktor Jekyll nie zdążył skończyć jakiegoś doświadczenia chemicznego, jak gdyby coś mu przeszkodziło.

— To ten sam lek, który mu ciągle znosiłem — powiedział Poole.

W tej chwili czajnik zagotował się i począł głośno syczeć, co zwabiło poszukiwaczy w stronę kominka. Wygodny fotel przysunięto blisko ognia, a nieco dalej, lecz w zasięgu ręki, czekała gotowa zastawa. Nawet cukier był już w filiżance. Na półce stało kilka książek, jedna zaś leżała otwarta na stoliczku z przyborami do herbaty. Pana Uttersona zdumiały straszliwe błuźnierstwa wypisane ręką pana domu na marginesach dzieła "teologicznego, o którym doktor Jekyll wyrażał się z uznaniem.

Dalsze poszukiwania zawiodły pod tremo. Pan Utterson i Poole z mimowolną trwogą zajrzeli w głąb zwierciadlanej tafli. Była jednak tak nachylona, że zobaczyli tylko różowy odbłask na suficie, tysiączne iskry migocące w szybach i lakierowanym drewnie szafek oraz własne blade, przejęte grozą twarze.

— Panie mecenasie — szepnął kamerdyner. — Dziwne rzeczy widziało to lustro.

— Ale nie dziwniejsze niż ono samo — odszepnął pan Utterson. — Po licha... — Urwał, jak gdyby mu tchu brakło, lecz rychło przemógł słabość. — Po licha było tu potrzebne Jekyllowi!

— Racja, panie mecenasie! Racja! — zawołał służący.

Następnie przyszła kolej na biurko, gdzie na stosie porządnie ułożonych papierów znalazła się duża koperta zaadresowana ręką doktora Jekylla do pana G. J. Uttersona. Adwokat złamał

pieczęć i zawartość koperty wysypała się na dywan. Pierwszy arkusz był ostatnią wolą zredagowaną równie dziwacznie jak poprzednia, zwrócona autorowi przed pół rokiem. Była tam także mowa o śmierci lub niewytlumaczonym zniknięciu, lecz na miejscu Edwarda Hyde'a widniało nazwisko Gabriela Johna Uttersona.

Stary jurysta zdumiał się niezmiernie. Spojrzał na Poole'a, potem na trzymany w rękę papier, wreszcie w stronę rozciągniętego na dywanie złoczyńcy.

— W głowie się mąci — mruknął. — Hyde gospodarował tu przez kilka dni. Nie miał powodu, by mnie kochać. Musiał się wściekać, że został wydziedziczony. A mimo to nie zniszczył dokumentu!

Następna ćwiartka papieru zawierała kilka słów skreślonych piśmem doktora i u góry opatrzona była datą.

— Ach, Poole! — zawołał prawnik. — Twój pan żył jeszcze dzisiaj.

Był w tym pokoju! Niepodobna uprzątnąć trupa w tak krótkim czasie. Musi być cały. Na pewno umknął! Ale dlaczego? Jak? Dokąd? I czy w takim przypadku można uważać to — wskazał zwłoki na dywanie — za samobójstwo? Ach, bądźmy ostrożni, Poole, bo (nie daj Boże!) wciągniemy twojego pana w okropne nieszczęście.

— Ale pan mecenas nie przeczytał jeszcze listu — powiedział Poole.

— Boję się — brzmiała odpowiedź. — Oby bez uzasadnionego powodu!

Z tymi słowy przebiegł wzrokiem kilka wierszy, a później przeczytał głośno:

Drogi Uttersonie!

Kiedy ten list znajdzie się w Twoich rękach, mnie już nie będzie. Jak to się stanie, przewidzieć nie zdołam. Ale przeczytanie i cała moja niezwykła sytuacja zapowiadają, że koniec jest nieuchronny i rychły. Proszę Cię, przeczytaj najprzód zeznanie, które zgodnie z zapowiedzią Lanyona powierzone zostało przez niego Twojej pieczy. Jeżeli zapragniesz wiedzieć więcej, odwołaj się do mojej spowiedzi.

*Twój niegodny i nieszczęśliwy
przyjaciel
Henryk Jekyll.*

— Czy było coś więcej? — zapytał adwokat.

— Było — odparł Poole i podał panu Uttersonowi sporą kopertę opieczętowaną w kilku miejscach.

Pan Utterson wsunął ją do kieszeni i powiedział:

— Nic nie będę mówił o tych papierach. Jeżeli twój pan umknął albo nie żyje, uratujemy przynajmniej jego dobre imię. Innej rady nie ma. Pójdę teraz do domu i przeczytam spokojnie wszystko, co mam do przeczytania. Wrócę przed północą. Wtedy wezwiemy policję.

Adwokat i kamerdyner wyszli na podwórze i zamknęli na klucz drzwi dawnego prosektorium. Pan Utterson zostawił służbę zbitą w gromadkę przed kominkiem i powędrował do domu, aby zapoznać się z treścią wyjaśniającą zagadkę dokumentów.

Zeznanie Doktora Lanyona

Przed czterema dniami, czyli dziewiątego stycznia, otrzymałem popołudniową pocztą list polecony adresowany ręką kolegi lekarza i mojego towarzysza lat szkolnych — doktora Henryka Jekylla. Byłem zdziwiony, bo nie mieliśmy zwyczaju korespondować ze sobą, a ponadto poprzedniego wieczora widziałem się z Jekylllem, nawet jadłem u niego obiad, a ze względu na

charakter naszych stosunków nie mogłem wyobrazić sobie niczego, co usprawiedliwiłoby zwrócenie się do mnie aż tak formalnie. Ale treść listu zdumiała mnie jeszcze bardziej, była bowiem następująca:

9 stycznia 18... r.

Drogi Lanyon!

Zaliczam Cię do grona najdawniejszych przyjaciół i jakkolwiek różnimy się niekiedy w kwestiach naukowych, nie przypominam sobie ochłodzenia naszych życzliwych uczuć — przynajmniej z mojej strony. Nie było dnia, kiedy nie poświęciłbym chętnie lewej ręki, aby pośpieszyć Ci z pomocą, gdybyś rzekł: „Jekyll, moje życie, honor, zdrowe zmysły — wszystko to zależy od Ciebie”. Otóż, Lanyon, moje życie, honor, zdrowe zmysły — wszystko to zdane jest na Twoją łaskę. Zginę, jeżeli mnie zawiedziesz! Spodziewasz się zapewne po takim wstępie, iż zamierzam Cię prosić o coś niegodnego. Sam tedy osądź. Pragnę, abyś na dzisiejszy wieczór i noc przekreślił wszelkie obowiązki, abyś odmówił, gdyby Cię wezwano do łoża konającego cesarza. Weź natychmiast dorożkę, jeżeli Twój stangret nie będzie wolny, i z tym listem w ręku pojedź prosto do mojego domu. Poole, kamerdyner, otrzyma rozkazy. Będzie na Ciebie czekał ze ślusarzem, który wyważy drzwi mojego gabinetu. Wejść do tego pokoju sam i otwórz (siłą, gdyby była zamknięta) oszkloną szafkę stojącą po lewej stronie i opatrzoną literą „E”. Następnie wyciągnij szufladkę czwartą od góry lub, co na jedno wychodzi, trzecią od dołu i zabierz ją t a k j a k j e s t, z c a ł a j e j z a w a r t o ś c i a. Drzę na myśl, że mógłbym Cię błędnie pokierować, lecz gdybym nawet popełnił omyłkę, właściwą szufladkę poznasz po zawartości. Znajdziesz w niej torebkę z proszkami, fiolkę z ciecżą i notes w tekturowej okładce. Nic więcej tam nie ma, ale to wszystko wraz z szufladką weź ze sobą do domu.

Tak przedstawia się pierwszy etap Twojego zadania. A teraz — drugi. Jeżeli wyjedziesz z Cavendish Square zaraz po otrzymaniu tego listu, wrócisz na długo przed północą. Wolę wszelako zostawić Ci rezerwę czasu, nie tylko ze względu na nieprzewidziane przeszkody, które zawsze mogą wyniknąć, lecz również dlatego, że dopełnienie Twojej niezmiernie ważnej misji będzie łatwiejsze, gdy służba pójdzie na spoczynek. Proszę Cię zatem, abyś o północy był sam w swoim gabinecie i osobiście wpuścił do domu kogoś, kto powoła się na moje nazwisko. Człowiekowi temu wręcz szufladkę zabraną z mego domu. Wówczas spełnisz do końca moje życzenie i zyskasz dozgonną wdzięczność przyjaciela. Jeżeli natomiast zażądasz bliższych wyjaśnień, w ciągu pięciu minut zrozumiesz, że wszystko, o co Cię proszę, ma kapitalne znaczenie, chociaż na pozór wydaje się niedorzecznością; że zaniedbanie najdrobniejszego szczegółu mogłoby obciążyć Twe sumienie śmiercią lub nieuleczalnym obłędem starego druha.

Nie zlekceważysz mojej prośby — wierzę w to głęboko — lecz na samą myśl o takiej możliwości ręka mi drży i serce zamiera w piersi. Czytając mój list wyobraź sobie, iż w tej właśnie chwili znajduję się w jakimś nieznanym, ponurym miejscu, iż targa mną niewysłowiona rozpacz i obawa. Zarazem jednak jestem pewien, że jeżeli wykonasz wszystko ściśle i we właściwej porze, moja udręka przeminie niby opowiedziana bajka. Pomóż, drogi Lanyonie! Wybaw starego przyjaciela.

H. J.

PS. Zapieczętowałem już kopertę, lecz nawiedziła mnie nowa obawa. Może się zdarzyć, że poczta sprawi zawód i list otrzymasz dopiero jutro rano. W takim razie, drogi Lanyonie, pierwszą część mojej prośby spełnij w ciągu dnia, kiedy Ci będzie najwygodniej, a posłańca czekaj o północy. Może już być za późno, jeżeli więc nikt nie przyjdzie, wiedz, że nie ujrzyś nigdy Henryka Jekylla.

Po przeczytaniu tego listu byłem zdania, że doktor Jekyll oszalał, nie mając jednak absolutnej pewności, zastosowałem się do dziwacznej prośby. Uważałem to za święty obowiązek, bo im bardziej niezrozumiale przedstawiała się moja rola, tym trudniej było ocenić jej wagę, a zlekceważenie tak sformułowanego błagania obciążyłoby mnie zbyt poważną odpowiedzialnością. Wobec tego wstałem od stołu, wsiałem w pierwszą dorożkę i kazałem się zawieźć do Jekylla.

Kamerdyner oczekiwał mojej wizyty. Tą samą pocztą otrzymał list polecony i niezwłocznie posłał po ślusarza i cieślę. Nie skończyliśmy jeszcze wstępnej rozmowy, gdy nadeszli obaj rzemieślnicy i razem udaliśmy się do prosektorium nieboszczyka doktora Denmana, skąd, jak Ci niewątpliwie wiadomo, jest najłatwiejszy przystęp do gabinetu. Drzwi były mocne, zamek znakomitej roboty. Cieśla zaklinał się, że będzie miał moc kłopotów i narobi szkody, jeżeli użyje siły. Ślusarz był bliski rozpacz, lecz okazał się człowiekiem zręcznym i po dwóch godzinach poradził sobie jakoś z zamkiem. Szafka oznaczona literą „E” nie była zamknięta. Wyciągnąłem szufladkę, utkałem słomą, owinałem w papier i wróciłem na Cavendish Square.

W domu wziąłem się zaraz do badania jej zawartości. Proszki wykonano dość starannie, lecz daleko im było do aptekarskiej precyzji, domyśliłem się więc, że to robota samego Jekylla. Kiedy rozwinąłem jeden z papierków, znalazłem w nim sól białą krystalicznej budowy. Z kolei zająłem się fiolką. Mniej więcej do połowy napełniał ją płyn krwistoczerwonej barwy, cuchnący bardzo niemiłe, jak gdyby fosforem, eterem siarczanym i jeszcze czymś, czego nie mogłem rozpoznać. Notes nie odznaczał się niczym osobliwym. Zawierał długi szereg dat, które pokrywały wieloletni okres i urywały się nagle przed niespełna rokiem. Tu i ówdzie zauważyłem przy datach krótkie notatki. „Podwójna dawka” powtarzało się sześć razy na kilkaset wniesionych pozycji. Na samej górze kolumny napisano raz: „zupełna kłapa!” z kilkoma wykrzyknikami. Bardzo mnie to wszystko zaciekało, lecz wyjaśniało niewiele. Miałem przed sobą fiolkę jakiejś mikstury, biały proszek w papierkach i notatki dotyczące doświadczeń, które — jak i inne pomysły Jekylla — nie wiodły zapewne do żadnego praktycznego celu. Jakim cudem sprowadzenie tych rzeczy do mojego domu mogło wpłynąć na honor, stan władz umysłowych czy nawet życie tego dziwaka? Jeżeli jego posłaniec może zgłosić się do mnie, może równie dobrze pójść w każde inne miejsce. A jeśli nie — to dlaczego mam go przyjmować w tajemnicy? Im dłużej się zastanawiałem, tym mocniej byłem przekonany, że w grę wchodzi choroba psychiczna, kiedy więc służba udała się na spoczynek, naładowałem rewolwer, by na wszelki wypadek mieć się czym bronić.

Londyńskie zegary wybiły wreszcie północ i umilkły. W tej chwili kołatka poruszyła się ledwie dosłyszalnie. Sam poszedłem do drzwi i na ganku zastałem niskiego mężczyznę, który przycupnął między kolumnami.

— Od doktora Jekylla? — zapytałem.

Przyświadczył nerwowym gestem, a kiedy zaprosiłem go do środka, podejrzliwie zerknął za siebie. W pobliżu ukazał się policjant, który nadchodził ze ślepą latarką. Na ten widok tajemniczy gość wzdrygnął się i z widocznym pośpiechem skoczył do przedpokoju. Przyznaję, że zdziwiło mnie to nieprzyjemnie, toteż wchodząc za nim do jasno oświetlonego gabinetu, ścisnąłem w garści rękojeść rewolweru.

Nareszcie mogłem obejrzeć zaufanego mojego kolegi. Na pewno nie zetknąłem się z nim nigdy w życiu. Jak już wspomniałem, był bardzo małego wzrostu, obecnie zaś zdziwił mnie odpychający wyraz jego twarzy, niezmierna ruchliwość, może nawet siła przy budowie na pozór chuderlawej i wątłej. Jego sąsiedztwo budziło osobliwy, niezrozumiały wstręt, któremu towarzyszył niepokój i wyraźnie wzmożone tętno. Zrazu sądziłem, że to mimowolna, nieuzasadniona odraza, i zaniepokoiło mnie tylko jej natężenie. Wkrótce jednak doszedłem do wniosku, że przyczyn tego zjawiska należy szukać głębiej, gdyż nie była to zwykła nienawiść, lecz coś, co tkwi w naturze mego niezwykłego gościa.

Człowiek ów (od pierwszej chwili wzbudził on we mnie uczucie, które najlepiej chyba nazwać ciekawością zabarwioną obrzydzeniem) odziany był tak, że zwykły śmiertelnik wyglądałby na jego miejscu groteskowo. Miał na sobie ubranie z drogiego i gustownego materiału, lecz o wiele za obszerne. Szerokie spodnie wisiały na cienkich nogach i były zawinięte u dołu, bo inaczej wlokłyby się po ziemi. Stan surduta sięgał niżej bioder, a kołnierz leżał rozpostarty na ramionach. Ale ten komiczny strój bynajmniej nie wywoływał śmiechu, gdyż pasował do ogólnego wrażenia,

jakie sprawiał jego właściciel — osobnik dziwny, odrażający, nieludzki — i pogłębiał jedynie niechęć zrodzoną od pierwszego wejrzenia. Obecnie interesowałem się nie tylko osobliwą postacią i cechami charakteru swego gościa. Zaciekawilo mnie również jego pochodzenie, życie, pozycja.

Opis tych obserwacji pochłonał wiele miejsca i czasu, w istocie była to jednak kwestia sekund. Posłaniec doktora Jekylla nie panował nad posępnym wzburzeniem.

— Ma pan? — krzyknął. — Ma pan wszystko?

Niecierpliwość jego była tak wielka, że ośmielił się położyć mi dłoń na ramieniu i usiłował mną potrząsnąć. Odepchnąłem go i nagle zdałem sobie sprawę, że to zetknięcie przejęło mnie lodowatym dreszczem.

— Bardzo przepraszam — powiedziałem — szanowny pan zapomina, że jak dotąd nie mam przyjemności znać szanownego pana. Proszę łaskawie usiąść.

Dałem mu dobry przykład zajmując swoje zwykłe miejsce, jak gdybym przyjmował pacjenta. Staralem się też o zupełnie naturalny ton i zachowanie, oczywiście w granicach, na jakie pozwalała spóźniona pora, natłok dziwnych myśli i bezwiedny lęk przed tym osobliwym człkiem.

— Proszę mi wybaczyć, panie doktorze — odparł dość uprzejmie. — Ma pan w zupełności rację. Jestem niegrzeczny, ale to wszystko zdenerwowanie. Przyszedłem tutaj na prośbę pańskiego kolegi, doktora Jekylla, w sprawie, o ile mi wiadomo, wielkiej wagi. Chodzi... — Urwał i podniósł dłoń do gardła; widać było, że mimo pozorów opanowania zmagają się rozpaczliwie z nadchodzącym atakiem hysterii. — Chodzi o... Jakaś... Jakaś... Szuflada...

Ulitowałem się nad jego męką i po trosze zapewne nad własną ciekawością.

— Oto ona, proszę pana — rzekłem i wskazałem stojącą za biurkiem szufladę, wciąż jeszcze owiniętą w papier.

Skoczył w jej stronę, lecz na chwilę przystanął chwytając się za serce. Wyraźnie słyszałem, jak zgrzyta zębami, a kiedy spojrzałem na niego, zobaczyłem twarz śmiertelnie bladą, wykrzywioną upiornie. Zatrwożyłem się o życie czy zdrowie zmysły swego gościa.

— Spokoju. Trochę spokoju — powiedziałem.

Odwrócił się, uśmiechnął okropnie i jak gdyby podejmując rozpaczliwą decyzję, zerwał papier z szufladki. Na widok jej zawartości dobył mu się z gardła szloch tak niezmiernej ulgi, że ze zdumienia skamieniałem w swym fotelu. Nim zdażyłem oprzytomnieć, zapytał całkiem opanowanym głosem:

— Ma pan menzurkę?

Dźwignąłem się nie bez wysiłku i podałem mu żądane naczynie.

Podziękował mi skinieniem głowy i uśmiechem. Później odmierzył kilka kresek szkarłatnego płynu i wsypał do menzurki jeden proszek.

Mieszanina, rdzawa zrazu, poczęła jaśnieć, w miarę jak rozpuszczały się kryształki, jednocześnie zaś burzyła się głośno i strzelała bankami gazu. Nagle objawy te ustały, a ciecz zmieniła kolor na ciemnopurpurowy, by po niejakim czasie zabarwić się zielono, niby woda w stawie. Wówczas mój gość, który od początku śledził bacznie wszystkie przemiany, wykrzywił się w uśmiechu i powiedział spoglądając na mnie bystro:

— Pora teraz na ostateczne wyjaśnienie. Czy będziesz rozumny, ostrożny, przezorny i bez dalszej rozmowy pozwolisz mi zabrać to naczynie i dom twój opuścić na zawsze? Czy też zbyt moźnie włada tobą ciekawość? Zastanów się, nim odpowiesz, bo postąpię tak, jak będziesz sobie życzył. Albo zostaniesz jak dawniej, nie mądrzejszy, a bogatszy tylko o tyle, o ile przysługę oddaną bliźniemu w śmiertelnym niebezpieczeństwie można uważać za wzbogacenie duszy; albo, jeżeli wolisz, nowe dziedziny wiedzy, nowe drogi do sławy i potęgi staną przed tobą otworem, tu za chwilę, w tym pokoju. Na własne oczy możesz oglądać cud, który wstrząśnie od podstaw twoją niewiarą w Szatana.

— Panie — odrzekłem z udanym chłodem, chociaż płonąłem wewnątrz — mówisz zagadkami i nie zdziwi cię pewnie, gdy powiem, że daleki jestem od wiary w twoje słowa. Zbyt długo jednak kroczę drogą niezrozumiałych przysług, by nie oglądać zakończenia.

— Zgoda! — odparł mój gość. — Lanyon! Pamiętaj o złożonych ślubach! Wszystko, co ujrzysz, musi spocząć pod pieczęcią tajemnicy zawodowej. A teraz! Ty, coś tak długo hołdował najbardziej ciasnym, przyziemnym poglądom, coś nie uznawał medycyny transcendentalnej, coś szydził z lepszych od siebie... Spójrz!

Przyłożył menzurkę do ust i zawartość jej wypił jednym haustem. Potem wrzasnął okropnie, zatoczył się, zwinął, chwycił kurczowo stołu, wybałuszył oczy i otwartymi ustami począł chwytać oddech. Nie mogłem oderwać odeń wzroku i po chwili dostrzegłem dziwne, szybko zachodzące przemiany. Mój gość jak gdyby rósł i pęczniał. Twarz mu pociemniała, rysy zacierały się, zmieniały i... Zerwałem się zza biurka, uskokczyłem pod ścianę i opanowany straszliwą grozą wyciągnąłem ręce, aby zasłonić się od cudu.

— Wielki Boże! — krzyknąłem. — Wielki Boże! Wielki Boże!

Na nic innego zdobyć się nie mogłem. Przede mną stał Henryk Jekyll. Błady, drżący, bliski omdlenia, szukał drogi omackiem niby człowiek, co powstał z grobu. Ale był w moim gabinecie! Widziałem go na własne oczy!

Tego, co wyznał mi w ciągu najbliższej godziny, nie odważę się przenieść na papier. Widziałem, słyszałem i dusza we mnie zaniemogła.

Ale dziś, kiedy wszystko przeminęło, pytam sam siebie, czy w to wierzę, i nie mogę zdobyć się na odpowiedź. Moje życie zostało wstrząśnięte do głębi, sen mnie opuścił, a błady strach nie odstępował za dnia i w nocy. Czuję, że dni mam policzone. Muszę umrzeć, ale ze światem rozstanę się pełen wątpliwości. Bez upiornej zgrozy nie potrafię wspomnieć bagna zgnilizny moralnej, które ten człek mi odkrył, chociaż wtajemniczając mnie ronił lży pokutne.

Na zakończenie dodam coś, co wstrząśnie Tobą, Uttersonie, jeżeli oczywiście zdołasz mi uwierzyć. Stwór, który owej nocy zakradł się pod mój dach, był, według wyznań samego Jekylla, znany pod nazwiskiem Hyde'a — mordercy sir Danversa Carew tropionego dziś, jak Anglia długa i szeroka.

Hastie Lanyon.

Pełna spowiedź Henryka Jekylla

Przyszedłem na świat w roku 18., a przyniosłem ze sobą nie tylko prawo do znacznej fortuny, lecz również nieprzeciętne zdolności, pracowitość, uczciwość oraz chęć, by budzić życzliwy szacunek ludzi mądrych i dobrych. Należało się więc spodziewać, iż czeka mnie obiecująca i zaszczytna przyszłość. Otwarcie mówiąc, główną moją wadę stanowił bujny temperament i nadmierna wszechstronność zainteresowań. Usposobienie takie często bywa podstawą szczęścia, wszelako ja nie mogłem go pogodzić z przemożnym pragnieniem, by głowę nosić wysoko i okazywać bliźnim maskę surowej powagi. Z tej przyczyny starannie ukrywałem przyjemności i rozrywki, kiedy zaś osiągnąłem wiek dojrzały i począłem rozglądać się wokół szacując swe zdobycze i stanowisko w świecie, przywykłem już do podwójnego życia. Niejeden chwaliłby się takimi grzeszkami, ale ja bolałem nad nimi i ukrywałem je wstydliwie ze względu na szczytne cele, które sobie wytknąłem. A zatem raczej wysokie aspiracje niż upadek moralny przywiodły mnie do ówczesnego stanu i rozcięły niby nożem sfery dobra i zła, co dzielą, a zarazem

łączą podwójną naturę ludzką. W tej sytuacji począłem rozmyślać nad nieubłaganymi prawami życia tkwiącymi u podstaw wszelkiej religii i stanowiącymi posępne źródło rozterki i niedoli. Chociaż niewątpliwie dwulicowy, nie byłem obłudnikiem. Obie moje połowy postępowały najzupełniej szczerze. Byłem sobą, gdy zerwawszy tamy nurzałem się w brudzie. Byłem sobą, gdy w jasnym świetle dnia pracowałem nad postępami nauki lub niosłem ulgę cierpieniom i nędzy. Badania prowadziłem wyłącznie w dziedzinie zjawisk metafizycznych, i tak się złożyło, że rozwój ich rzucił potężny snop światła na tę stałą wewnętrzną walkę toczoną przez moje dwie połowy. Z dnia na dzień moralna i intelektualna świadomość zbliżała mnie do prawdy, której częściowe poznanie stało się później powodem straszliwej katastrofy — do prawdy, że człowiek to nie jedna, ale dwie istoty. Powiadam dwie, gdyż moja wiedza nie sięga poza tę granicę. Po mnie przyjdą inni, dalej posuną się tą samą drogą, wyprzedzą mnie i dowiodą hipotezy, którą dzisiaj ośmielę się wysunąć: iż człowiek jest zbiorowiskiem wielu niezależnych, samodzielnych bytów. Ja - ze względu na charakter i tryb życia — wędrowałem nieuchronnie w jednym i tylko w jednym kierunku. Moralna strona zagadnienia, obserwowana na własnej osobie, zrodziła we mnie myśl o zasadniczej, prymitywnej dwoistości. Dzięki sprzecznym naturom wiodącym we mnie walkę zrozumiałem, że słusznie można mi przypisać każdą z nich dlatego właśnie, że obydwie we mnie działają. Daleki jeszcze byłem od naukowych odkryć, które uprzytomniły mi realną możliwość takiego cudu, często jednak roilem na jawie i zabawiałem się myślą o rozłączeniu przeciwstawnych elementów. Gdyby każda z moich dwóch natur mogła zamieszkać w niezależnym ciele — myślałem sobie — życie uwolniłoby się od tego, co jest nie do zniesienia. Człowiek zły szedłby własną drogą nie dręczony wyrzutami sumienia szlachetniejszego bliźniaka. Dobry kroczyłby prostą ścieżką cnoty i radował się zacnymi uczynkami nie cierpiąc i nie pokutując za grzechy nierozdzielnej z nim występnej części. Przekleństwo ludzkości polega więc na tym, że dwie sprzeczne natury są ze sobą na wieki złączone, że w otchłani dręczonego sumienia muszą toczyć tragiczne, nie kończące się boje. Jak je rozdzielić? Na to pytanie nie znajdowałem odpowiedzi.

W takim stanie rozważań abstrakcyjnych promień światła padł nagle z laboratoryjnego stołu. Uprzytomniłem sobie tak jasno, jak nikt przede mną, dziwną niematerialność, jak gdyby mglistą zwiewność tej na pozór solidnej powłoki, którą odziani wędrujemy po ziemi. Odkryłem, że pewne związki potrafią targać i rozsuwać cielesne szaty, podobnie jak wiatr odrzuca płócienne zasłony namiotu.

Z dwóch przyczyn — jak mi się wydaje uzasadnionych — nie zamierzam rozwodzić się obszerniej nad naukową stroną zagadnienia stanowiącego temat tej spowiedzi. Po pierwsze, stwierdziłem, że brzemień życia musi przytłaczać ludzkie barki, kiedy zaś człowiek próbuje je zrzucić, brzemień powraca w innej, obcej formie i powoduje udawkę nie do zniesienia. Po drugie, odkrycie moje było niezupełne, co — aż nazbyt jasno, niestety! — wyniknie z dalszego ciągu opowieści. Niechaj wystarczy, że nie tylko stwierdziłem, iż moje ciało jest emanacją sił składających się na ducha, lecz również dzięki odkryciu pewnego medykamentu zawładnąłem rzeczonymi siłami i zdołałem wyzwolić z ich mocy drugą postać i oblicze — niewątpliwie moje, gdyż stanowiące ucieleśnienie gorszych stron natury Henryka Jekylla.

Wysnutą teorię poddałem próbie praktyki dopiero po długim wahaniu. Rozumiałem jasno, iż ryzykuję życiem, bo potężny środek zdolny przeobrazić cielesną powłokę mógł przecież w razie najmniejszego bodaj przedozowania lub innego uchybienia zniweczyć i unicestwić niematerialny obraz, który chciałem jedynie odmienić. Ale pokusa, by potwierdzić niezwykle, przełomowe odkrycie, zmoła na koniec wszelkie obawy. Miksturę przygotowałem od dawna, musiałem więc jedynie zakupić w aptekarskiej hurtowni znaczną ilość pewnej soli, która — jak wiedziałem z poprzednich doświadczeń — była ostatnim potrzebnym składnikiem. Nadeszła noc po stokroć przeklęta. O późnej godzinie wsypałem proszek do cieczy. Pilnie obserwowałem, jak mieszanina burzy się i dymi w szklance, a kiedy musowanie ustało, dodając sobie odwagi, jednym łykiem

wypiłem gotowy kordiał.

Nastąpiły okropne bóle, jak gdyby łamanie kości, śmiertelne osłabienie i strach tak niezmierny, że równego mu doświadcza człowiek chyba tylko w momencie narodzin lub zgonu. Ale męka minęła rychło. Ocknąłem się jak chory, uleczony nagle z ciężkiej niemocy. Uczucia moje były niewypowiedziane dziwne, zupełnie nowe i dzięki tej nowości upajające, rozkoszne. Czuję się młodszy, lżejszy, zadowolony z życia. A w duchu byłem beztroski, wyzwolony — tysiączne bezwstydnym, zmysłowe obrazy mknęły na wyścigi przed oczyma wyobraźni, pękały wszelkie więzy obowiązków, duszę przepajała nie znana mi dotychczas grzeszna swoboda. Od pierwszego oddechu w tym nowym życiu zdawałem sobie sprawę, że jestem gorszy, dziesięćkroć gorszy, że jak niewolnik zaprzedałem się mojej niecnej połowie, ale ta myśl porывała mnie zrazu i upajała niczym wino. Zachwycony nowością, wyciągnąłem ręce i w tej chwili uprzytomniłem sobie, że zmałałem.

Nie miałem wtedy lustra w gabinecie. Tremo, które stoi za mną, gdy piszę te słowa, kazałem przynieść później, aby dokładnie obserwować przemiany, jakim ulegałem. Tymczasem jednak noc minęła i mglisty dzień miał wyłonić się wkrótce z szarego brzasku. Wszyscy domownicy spali mocno, jak zwykle nad ranem. Pełen nadziei i dumy z osiągniętego triumfu, postanowiłem zaryzykować w nowym ciele wyprawę do mojej sypialni. Kiedy znalazłem się na dziedzińcu, gwiazdy spojrzały z góry, a mnie uderzyła myśl, że mimo wiecznego czuwania nigdy nie oglądały podobnej istoty! Obcy we własnym domu, pomknąłem korytarzami i w sypialnym pokoju po raz pierwszy ujrziałem Edwarda Hyde'a.

Teraz muszę znowu odwołać się do teorii i mówić nie o tym, co wiem, lecz co uważam za najbardziej prawdopodobne. Zła część natury wyzwolona obecnie i sprawująca władzę była cieśniej słabsza i gorzej rozwinięta niż dobra, którą odrzuciłem. Zarazem jednak mniej utrudziła się i wyczerpała, gdyż dotychczas dziewięć dziesiątych życia poświęcałem przeciw pracy, cnocie i świadomemu, okiełznanemu działaniu. Dlatego właśnie Edward Hyde był znacznie niższy, szczuplejszy i młodszy niż Henryk Jekyll. Jedną twarz rozjaśniał blask wewnętrznego światła, na drugiej mroki zła wryły głębokie piętno. Ponadto zło (mimo wszystko słabsze w człowieku niż dobro) zniekształciło i jak gdyby okaleczyło całą postać swojego wcielenia. Mimo to, obserwując bacznie brzydotę w lustrzanej tafli, nie czułem odrazy, lecz raczej przyływ serdeczności. Przecież to byłem także ja — ludzki i naturalny. Ta twarz wydawała mi się bardziej prostym, wymownym odzwierciedleniem ducha niż targane sprzecznymi uczuciami oblicze, które dotychczas uważałem za swoje. W tym przypadku niewątpliwie miałem słusność. Wielekroć obserwowałem później, że gdy występowałem pod postacią Hyde'a, każdy, kto po raz pierwszy zbliżał się do mnie, odczuwał fizyczny wstręt, niepokój i obawę. Wyjaśniam to w ten sposób, że na drodze życia istoty stanowiące zawsze połączenie dobra i zła, a czyste zło reprezentował tylko Edward Hyde — on jeden w niezmiernym oceanie ludzkości.

Niedługo marudziłem przed lustrem, bo czekał mnie jeszcze jeden, decydujący eksperyment. Należało się przekonać, czy nie na dobre utraciłem dawną osobowość, czy zanim dzień zaświta, nie będę musiał cichaczem umykać z nie mojego już domu. Szybko wróciłem do gabinetu, przyrządziłem i łyknąłem świeżą dozę leku. Po straszliwych mękach wyłoniłem się z nicości w poprzedniej postaci. Miałem wzrost, twarz i charakter doktora Henryka Jekylla.

Tamtej nocy stanąłem na rozstajnych drogach. Skutki były fatalne! Gdybym na swoje odkrycie spojrzał z innej, godziwszej strony, gdybym ryzykowny eksperyment podjął w zbożnym, szlachetnym celu — wszystko wyglądałoby odmiennie, a z mąk narodzin i zgonu powstałby anioł zamiast czarta. Przyrządzony przeze mnie medykament nie działał w określonym kierunku, nie był niebiańskim czy piekielnym balsamem — otwierał tylko drzwi więzienia i uwalniał tych, co się za nimi szamotali. Cnota moja drzemała w owym czasie, a złe skłonności rozbudzone przez wybujałą ambicję — ożywione i czujne — skwapliwie podchwyciły nadarzającą się sposobność. Widowym tego płodem była postać znana później pod mianem Edwarda Hyde'a. Jak stąd wynika, od owej

nocy dysponowałem dwoma charakterami i dwoma osobami, z których jedna była absolutnie zła, druga zaś pozostała dawnym Henrykiem Jekylllem — niedoskonałym zlepkiem, w którego zbawienie i poprawę nauczyłem się wątpić. Postęp zmierzał więc jedynie ku gorszemu.

Pojmowałem to, lecz nie mogłem przemóc odrazy do nudnego, oschłego życia. Chwilami bywałem usposobiony wesoło, co stawało się coraz bardziej kłopotliwe i niemiłe, gdyż rozrywki szeroko znanego, powszechnie szanowanego starszego pana wypadałoby nazwać co najmniej nieprzystojnymi. Dlatego właśnie świeżo nabyta władza kusila mnie, dopóki nie popadłem bez reszty w jej niewolę. Wystarczyło jedynie łyknąć dozę leku, by zrzucić ciało słynnego profesora i niby grubą peleryną otulić się osobowością Edwarda Hyde'a. Myśl tę witałem uśmiechem, bo w owym czasie wydawała mi się niesłychanie pocieszna.

Rozpocząłem staranne przygotowania. Wynająłem i umeblowałem dom w Soho — ten, w którym policja wytropiła później Hyde'a. Przyjąłem gospodynię — starszą niewiastę, dyskretną i absolutnie pozbawioną skrupułów. Ale nie na tym koniec. Opisawszy pana Hyde'a, zapowiedziałem własnej służbie, by wpuszczała go do domu i słuchała we wszystkim, a chcąc uniknąć nieporozumień kilkakrotnie pojawiałem się w drugiej postaci. Następnie sporządziłem testament, który oburzył Cię tak srodze, drogi Uttersonie. Gdyby jednak doktorowi Jekyllowi przytrafiło się nieszczęście, dzięki niemu mógłbym bez strat pieniężnych rozpocząć nowe życie w ciele Edwarda Hyde'a. Zabezpieczywszy się tak — jak sądziłem, ze wszystkich stron — jałem korzystać z osobliwego prawa nietykalności.

Dawnymi laty ludzie najmowali zbirów, by zbrodniami nie kalać własnej opinii. Ja, pierwszy w dziejach, robiłem to dla rozrywki. Mogłem przed światem chodzić z podniesionym czołem, a zarazem na każde żądanie pozbywać się niedogodnych więzów i niby uczniak na wagarach dawać nurka w morze bezbrzeżnej swobody. Byłem bezpieczny, nikt bowiem nie mógł przeniknąć niepojętej maski. Na Boga! Przecież nawet nie istniałem! Niechaj przekroczę próg laboratorium, a w dwie sekundy zmieszam i wypiję cudowny kordiał. Wtedy Edward Hyde rozplynie się w nicości niczym para oddechu na lustrzanej tafli, zastąpi go zaś człowiek, który drwić może z wszelakich posądzeń. Henryk Jekyll, co u siebie w domu objaśnia lampę w zacisznym pokoju do pracy!

Rozrywki, na które sobie pozwalałem, były, jak się już rzekło, co najmniej niegodne, lecz w rękach Edwarda Hyde'a stały się wnet plugawe. Kiedy wracałem z nocnych wycieczek, często z niedowierzaniem rozmyślałem o swym straszliwym upadku. Osobnik wywoływany z mroków mojej duszy i spuszczonej ze smyczy, by używał do woli, był łajdakiem szczególnie złośliwym. Samolubny we wszystkich myślach i uczynkach, bezlitosny niby posąg z kamienia, po bestialsku rozkoszował się męką i cierpieniami innych. Henryk Jekyll drętwiał chwilami, uświadamiając sobie postęпки Edwarda Hyde'a. Ale zupełnie nowa sytuacja — obca wszelkim przyrodzonym prawom — wpływała kojąco na wyrzuty sumienia. Przecież Hyde i tylko Hyde był za wszystko odpowiedzialny. Jekyll nie ponowił winy. Budził się rano z pogodnym obliczem, godny szacunku i na pozór nieskazitelny. Ba! Starał się nawet naprawiać zło czynione przez Hyde'a, jeżeli oczywiście nie było za późno. Dzięki temu drzemało sumienie doktora Henryka Jekylla.

Nie myślę wchodzić w szczegóły hańby, którą się okryłem, bo nawet dzisiaj trudno mi uwierzyć, iż to ja popełniłem zbrodnicze uczynki. Pragnę tylko zwrócić uwagę na rozmaite ostrzeżenia i kolejne kroki, którymi zbliżała się nieuchronna kara. Pewien incydent, chociaż dość znamienny, wspomnę ledwie w kilku słowach, ponieważ obył się bez groźnych następstw. Hyde bezlitośnie potraktował dziecko. Oburzyło to przypadkowego przechodnia, jak się później okazało, Twojego krewniaka. Lekarz i rodzice skrzywdzonej dziewczynki pośpieszyli mu z pomocą i przez chwilę bałem się o swoje życie. Chcąc załagodzić sprawę, Edward Hyde poprowadził prześladowców do drzwi laboratorium i wyniósł stamtąd czek z podpisem Henryka Jekylla. Nietrudno jednak było uniknąć podobnych niebezpieczeństw na przyszłość. Wystarczyło otworzyć

w innym banku konto na nazwisko Edwarda Hyde'a, kiedy zaś pochylając inaczej pióro nauczyłem się świadczyć o swym rozdzieleniu nawet podpisem, sądziłem, że nie grozi mi pomsta losu.

Pewnej nocy — mniej więcej na dwa miesiące przed zamordowaniem sir Danversa Carew — wróciłem późno z awanturycznej wyprawy i nazajutrz obudziłem się pod szczególnym wrażeniem. Rozglądałem się po własnej sypialni, dobrze widziałem jej wysokie ściany i znajome od lat cenne meble, rozpoznawałem deseń zasłon przy łóżku i mahoniowe kolumny baldachimu. Wszystko na próżno! Nie zdołałem odpędzić iluzji, iż znajduję się w Soho, w ciasnym pokoiku, gdzie nocowałem niekiedy pod postacią Edwarda Hyde'a. Uśmiechnąłem się do siebie i zacząłem dociekać psychologicznych podstaw takiej iluzji, wreszcie zapadłem w rozkoszną drzemkę, nadal snując półsennie rozważania. Wreszcie ocknąłem się i bezwiednie spojrzałem na własną rękę. Otóż dłoń Henryka Jekylla jest szeroka, mocna, biała, miękka — typowa dłoń lekarza, sądząc z rozmiaru i kształtu. Sam to nieraz mówiłeś, Uttersonie. Tymczasem pięść leżąca na kołdrze i wyraźnie widoczna w żółtawym świetle londyńskiego poranka była szczupła, sucha, sękata, ogorzała i gęsto porośnięta szczeciniastym włosem. Była to ręka Edwarda Hyde'a.

Przez dobre pół minuty patrzyłem na nią w osłupieniu, nim przerażenie zbudziło się w mej piersi i zgrzytnęło niby zdruzgotane cymbały. Wskoczyłem z łóżka, pobiegłem do zwierciadła, a to, co w nim ujrzałem, zmroziło mi krew w żyłach. Tak! Usnął Henryk Jekyll, zbudził się Edward Hyde! Jak to wyjaśnić? Takie pytanie nasunęło mi się przede wszystkim, wnet jednak nowa fala przerażenia przyniosła drugie: jak zaradzić złemu? Jest późno, służba krząta się po domu, a wszystkie leki w gabinecie! Czekam na długą wędrówkę: schody, korytarz, przestronne, dobrze widoczne podwórce i prosektorium. Skamieniały ze zgrozy stałem w sypialni. Oczywiście, mogę zasłonić twarz, ale cóż z tego, skoro niepodobna ukryć zmiany wzrostu? W tej chwili spłynęło na mnie olśnienie i niewysłowiona ulga. Przecież służba przywykła do mojego drugiego wcielenia, które kilkakrotnie tu przychodziło. Szybko i najlepiej jak umiałem, wciągnąłem na siebie o wiele za obszerne ubranie. Bez przeszkód minąłem schody i korytarz; tylko Bradshaw wzdrygnął się i uskoczył na bok, gdy zobaczył pana Hyde'a o niezwyklej porze i wystrojonego tak dziwacznie. W dziesięć minut później doktor Jekyll zasiadł do stołu i z pochmurnym czołem udawał, że je śniadanie.

Apetytu nie miałem naprawdę. Niepojęte zdarzenie odwróciło sens dotychczasowych eksperymentów i niby na babilońskim murze zdawało się pisać sentencję nieubłaganego wyroku. Głębiej niż kiedykolwiek począłem zastanawiać się nad istotą i możliwymi skutkami podwójnej egzystencji. Wyzwolona świadomość zła część mojej natury była ostatnio bardzo ożywiona, z dnia na dzień nabierała siły. Kilka razy odniosłem nawet wrażenie, iż Edward Hyde podrośł, a występując w jego ciele czułem, że krew krąży mi w żyłach jak gdyby bujniej, goręcej. Zaczynałem przeczuwać niebezpieczeństwo. Jeżeli zabawa potrwa dłużej, mogę utracić równowagę sprzecznych natur i władzę nad dowolną kolejnością przemian. Wówczas na zawsze przybiorę postać i charakter Edwarda Hyde'a. Cudowny lek czasem zawodził. Na samym początku zdarzyło mi się całkowite niepowodzenie, później zaś musiałem kilka razy dawkę podwoić, a nawet raz potroić, ryzykując życiem. Te (nieczęste zresztą) zakłócenia stanowiły dotychczas jedyny cień na firmamencie mojego triumfu. Obecnie jednak, w świetle porannego wypadku, uprzytomniłem sobie, że o ile zrazu trudność polegała na wyzwoleniu się z ciała doktora Jekylla, o tyle później, stopniowo, lecz niezawodnie, zaczęła przesuwać się w odwrotną stronę. Wszystko to wskazywało, że z wolna tracę władzę nad lepszą połową natury i całkowicie wsiąkam w tę drugą — gorszą.

Nadszedł czas wyboru. Moje wcielenia miały wspólną pamięć, lecz inne cechy obdzielały je nierówno. Jekyll (istota złożona) uczestniczył w wybrykach i przygodach Hyde'a — raz z dreszczem strachu, raz pełen uciechy. Natomiast Hyde nie dbał o Jekylla; jeżeli pamiętał o nim, to tak, jak rozbójnik z gór wspomina pieczarę, w której chroni się przed pościgiem. Jekyll odczuwał troskę więcej niż ojcowską. Hyde obojętność więcej niż synowską. Wcielenie się w Jekylla

oznaczałoby dla mnie rezygnację z zachcianek, jakim od dawna pobłażałem, ostatnio zaś ulegałem coraz bardziej. Wcielenie się w Hyde'a — rezygnację z tysiącznych zainteresowań, ambicji, a zarazem dożywotnią samotność i wzgardę całego świata. Ceny były na pozór nierówne, na szale jednak należało dorzucić coś więcej: Jekylla czekają niezawodnie piekielne męki ognia nienasyconych pragnień, natomiast Hyde nie będzie nawet wiedział, co utracił. Znajdowałem się w nowej, nieznanej sytuacji, a przecież zdawałem sobie sprawę, że moja wewnętrzna rozterka jest równie stara jak rodzaj ludzki. Podobne ponęty i trwogi mają każdego grzesznika, co lęka się, lecz zarazem ulega pokusom. Ze mną stało się to, co z lwią częścią moich bliźnich od stworzenia świata: obrałem lepszą część i nie stało mi woli, żeby ją obronić.

Tak! Milszy mi był starszawy, trochę zawiedziony doktor, który pośród grona przyjaciół żyje pogodnie i uczciwie. Bez wahania pożegnałem swobodę, względną młodość, lekki chód, nieokiełznane wybryki i tajone rozkosze dostępne Jekyllowi pod maską Edwarda Hyde'a. Uczyniłem wybór, podświadomie jednak zachowując furtkę na przyszłość: nie pozbyłem się mieszkania w Soho ani też nie zniszczyłem odzieży Hyde'a, która i teraz leży ukryta w moim gabinecie. Na dwa miesiące dochowałem wiary swej decyzji. Przez dwa miesiące wiodłem życie surowsze niż kiedykolwiek, a czyste sumienie było mi sowitą nagrodą. Ale z czasem spokój ducha stał się czymś codziennym, zrozumiałym. Dręczony męką pożądania i tęsknoty, miałem wrażenie, iż uwięziony Hyde szamoce się w moim wnętrzu. Wreszcie w chwili moralnego załamania — uległem. Jeszcze raz zmieszałem i wypilem cudowny kordiał.

Nie sądzę, aby pijak rozmyślający o swoim nałogu brał pod uwagę (bodaj raz na pięćset przypadków) niebezpieczeństwa, na jakie się naraża w stanie bydłęcego zamroczenia. Podobnie było ze mną. Nie zastanawiałem się nigdy, że charakter Edwarda Hyde'a jest nacechowany kompletną antymoralnością, żywiołowym pędem ku złu. Dlatego właśnie poniosłem straszliwą karę. Mój szatan, długo więziony w klatce, wyrwał się na swobodę z opętańczym rykiem. Zaraz po przełknięciu leku uświadomiłem sobie nieokiełznaną, piekielną żądzę czynienia źle. Uległem jej i kiedy moja nieszczęsna ofiara zagadnęła mnie miłym, uprzejmym tonem, poczułem w głębi duszy huragan gniewu i nienawiści. Przysięgam, że nikt zdrowy na umyśle nie mógłby popełnić zbrodni tak pozbawionej sensu i motywów; że zadawałem ciosy równie nieświadomie, jak chore dziecko, co psuje zabawkę. Dobrowolnie jednak potargałem więzy, dzięki którym nawet najgorsi spośród nas omijają pokusy jako tako pewnym krokiem. Dla mnie najśłabszy bodaj impuls równał się upadkowi.

Duch piekieł ocknął się we mnie i rozszalał. W radosnym uniesieniu masakrowałem powalone, bezwładne ciało, a każdy cios sprawiał mi niewysłowioną rozkosz. Szaleństwo przybierało na sile, sięgało szczytów. Wreszcie zmogło mnie utrudzenie, a lodowaty strach boleśnie ścisnął serce. Mgła pierzchła. Był to strach o własną skórę. Umknąłem z miejsca zbrodni upojony, a zarazem drżący. Mój żywiołowy pociąg do zła doznał pełnego nasycenia, z kolei instynkt miłości życia doszedł do głosu. Pobiegłem do domu w Soho i zniszczyłem papiery Edwarda Hyde'a, by się tym pewniej zabezpieczyć. Później umykałem słabo oświetlonymi ulicami targany tym samym sprzecznym uczuciem — radości i przerażenia. Delektowałem się zbrodnią, obmyślałem inne na przyszłość, jednocześnie zaś trwożnie zerkałem przez ramię i nastawiałem uszu, aby się przekonać, czy tropem moim nie podąża mściciel. Przyrządzając cudowną miksturę Hyde nucił wesoło, a gdy ją wypił, popadł w otępienie śmierci. Zaledwie minęły cierpienia przemiany, Henryk Jekyll runął na kolana i roniąc łzy podzięk i skruchy podniósł ku niebu kornie złożone dłonie. Welon pobłażliwości dla samego siebie został rozdarty. Oczyma wyobraźni oglądałem całe życie - od dni dzieciństwa, gdy ojciec wodził mnie za rękę, poprzez samozaparcie i trudy lekarskiego zawodu, aż do potworności ostatniej nocy. Wielekroć przebiegałem tę samą drogę i za każdym razem z uczuciem niewiary wracałem do tej ohydnej sceny. Szlochałem na głos. Łzami i modlitwą próbowałem odpędzić przerażające obrazy i dźwięki. Ale wspomnienia opadły mą duszę i niezmiernym bólem targały ją na strzępy. Wreszcie ostrze cierpienia stępiało po trosze, a wyrzuty

sumienia ustąpiły wobec radości. Problem został rozwiązany! Hyde był teraz niepodobieństwem. Mimo woli muszę dochować wiary swej lepszej połowie. Ach, z jakim uniesieniem cieszyłem się tą myślą! Jak pokornie gotów byłem przyjąć na nowo więzy normalnego życia! Z jaką satysfakcją zamknąłem drzwi, którymi często umykałem i wracałem, a klucz zgniotłem obcasem!

Następny dzień przyniósł wiadomość, że morderstwo odkryto. Ofiarą padł człowiek wysokiej pozycji, otoczony powszechnym szacunkiem, a wina Edwarda Hyde'a została udowodniona. Była to nie tylko zbrodnia, lecz również dowód tragicznego obłędu. Muszę przyznać, że doświadczyłem znacznej ulgi, gdyż obecnie groza szafotu miała wspierać i wspomagać moje dobre instynkty. Jekyll był mi teraz ucieczką, bo gdyby Hyde spróbował wychylić się na moment, tysiąc rąk wyciągnęłoby się, aby chwycić go i wydać na śmierć.

Postanowiłem przyszłością odkupić przeszłość i dzisiaj wolno mi rzec uczciwie, iż postanowienie to wydało piękne owoce. Dobrze wiesz, Uttersonie, że w ostatnich miesiącach ubiegłego roku nie żałowałem trudu, by nieść ulgę cierpiącym. Wiesz, że dużo dobrego czyniłem bliźnim, a moje dni płynęły spokojnie, niemal szczęśliwie. Nieprawdą byłoby twierdzenie, że nudził mnie pełen miłosiernych czynów, niewinny tryb życia; przeciwnie, z dnia na dzień podobał mi się coraz bardziej. Nadal jednak znaczyło mnie piętno rozdziwienia i gorsza połowa natury, wolna przez czas dłuższy, a ostatnio zakuta w łańcuchy, zaczynała domagać się swobody tym gwałtowniej, im słabsze były męki skruchy. Oczywiście, nigdy nie marzyłem o wskrzeszeniu Hyde'a. Na samą tę myśl przejąłby mnie dreszcz grozy. Zacząłem jednak igrać z sumieniem i kiedy uległem szturmowi pokus, stałem się tym co niegdyś pokątnym grzesznikiem.

Wszystko musi mieć koniec. Najpojemniejsze naczynie przepełni się wreszcie. Drobnie na pozór _ustępstwa_ złym skłonnościom ostatecznie zburzyły równowagę mojego ducha. Zrazu nie obawiałem się wcale. Upadek wydawał mi się naturalnym powrotem do dawnych lat — przed dokonaniem odkrycia.

W pogodny, jasny dzień styczniowy, kiedy szron topnieje i ziemia mięknie pod bezchmurnym niebem, słodka woń nadciągającej wiosny przesycala powietrze Regent Parku, jędrne jeszcze od zimowych chłódów. Siedziałem na ławce skąpanej w słonecznym blasku. Ukryte we mnie zwierzę ogryzało gnaty wspomnień, a duch przymykał zaspane oczy i obiecywał na przyszłość pokutę, której nie miał ochoty rozpoczynać zaraz.

Mimo wszystko — pomyślałem — nie jestem gorszy od swoich bliźnich. — Z uśmiechem zacząłem przymierzać się do innych ludzi i porównywać własną czynną dobrą wolę z leniwym okrucieństwem ich bierności. W trakcie tych samochwalnych rozważań chwyciły mnie bóle, nieznośne mdłości i straszliwe śmiertelne dreszcze. Kiedy minęły, byłem bliski omdlenia, niebawem jednak powróciła przytomność i zdałem sobie sprawę z nagłej zmiany usposobienia. Byłem śmielszy, bardziej beztrojski. Drwiłem z niebezpieczeństw i za nic miałem sobie więzy obowiązków. Spuściłem wzrok: ubranie zwisało na mnie luźno, leżąca na kolanach ręka była sękata i porosła włosom. Jeszcze raz przybrałem postać Hyde'a. Przed chwilą byłem pewien ludzkiego szacunku, bogaty, uwielbiany; w domowym zaciszu czekał mnie stół nakryty śnieżnobiałym obrusem. Teraz stałem się wyrzutkiem społeczeństwa, tropionym, bezdomnym mordercą, na którego czeka szubienica.

Mąciło mi się w głowie, ale nie postradałem zmysłów. Niejednokrotnie już zwróciłem uwagę, iż w odmienionej postaci jestem bystrzejszy, bardziej elastyczny, odporniejszy duchowo. Obecna sytuacja potwierdziła ten pogląd, bo tam, gdzie Jekyll zawiódłby na pewno, Hyde potrafił stanąć na wysokości zadania. Medykamenty znajdowały się w moim gabinecie w jednej z oszklonych szafek. Jak się do nich dobrać? Ścisnąłem głowę dłońmi i z niezmiernym wysiłkiem próbowałem rozwikłać ów problem. Drzwi laboratorium zamknąłem raz na zawsze. Gdybym próbował wrócić do domu od frontu, własna służba wydałaby mnie w ręce kata. Doszedłem do wniosku, iż trzeba się posłużyć cudzymi rękami i pomyślałem o Lanyoniu. Ale jak się z nim

zetknąć? Co powiedzieć? Załóżmy nawet, że uniknę aresztowania na ulicy. Cóż z tego? Czy nieznajomy antypatyczny włóczęga zdoła namówić słynnego lekarza, aby splądrował pracownię swojego kolegi? Wówczas przypomniałem sobie, że ze wszystkich cech doktora Henryka Jekylla pozostała mi jedna: w odmienionej postaci zachowałem własny charakter pisma. Iskierka ta zabłysła nagle i rozjaśniła całą prostą drogę — od początku do końca.

Poprawiłem ubranie najlepiej jak umiałem i skinąwszy na przejeżdżającą dorożkę kazałem się wieźć do skromnego hoteliku przy Portland Street, którego nazwa utkwiała mi w pamięci. Na mój widok (naprawdę pocieszny, chociaż pod cudacznym odzieniem kryła się tragedia) woźnica nie mógł pohamować uśmiechu. Wykrzywiłem się jednak i zgrzytnąłem zębami z tak szatańską furią, że uśmiech zniknął z twarzy dorożkarza — na szczęście dla niego, a jeszcze bardziej dla mnie, bo za chwilę niewątpliwie ściągnąłbym z kozła niewczesnego żartownisia. Do hotelowej jadalni wkroczyłem z groźną miną, toteż kelnerzy powstrzymali się nawet od znaczących spojrzeń i uniesienie wykonali polecenia. Zaprowadzili mnie do osobnego pokoju i wnet przynieśli przybory do pisania. Hyde zagrożony śmiertelnym niebezpieczeństwem był dla mnie istotą zupełnie nową. Płonął szaleńczym gniewem, kipiał żądzą mordy, pragnął zadawać ból i rany. Ale potrafił zdobyć się na przebiegłość. Niezmiernym wysiłkiem woli okiełznał furię i zredagował dwa tak ważne listy: jeden do Lanyona, drugi do Poole'a. Ba! Chcąc mieć niezachwianą pewność, że przesyłki nie zginą po drodze, kazał je nadać jako poleczone. Resztę dnia spędził w hotelowym pokoju, a że nie pozostawało mu już nic do zrobienia, gryzł palce w bezsilnej wściekłości. Obiad zjadł na miejscu, sam, tylko w towarzystwie własnych strachów i kelnera, co usługując mu przy stole drżał i kulił się pod spojrzeciami niezwykłego gościa. Z nastaniem nocy porzucił wreszcie kryjówkę i zamkniętą karetką kazał się wozić ulicami miasta — tam i z powrotem, tam i z powrotem. Piszę wciąż „on”, bo na „ja” nie potrafię się zdobyć. To dziecię piekieł nie miało w sobie nic ludzkiego. Pozostały mu tylko dwa uczucia: strach i nienawiść. Hyde zląkł się nagle, że woźnica zaczyna coś podejrzewać — te dwie ohydne pasje rozszalały się w nim z siłą orkanu. Wysiadł z pojazdu i odważył się na pieszą włóczęgę, chociaż źle dopasowany strój zwracał uwagę nielicznych nocnych przechodniów. Szybko przemykał ruchliwymi ulicami; gnany obawą wciąż przyspieszał kroku, mówił do siebie, liczył minuty do północy. Raz zaczęła go kobieta proponując, jeśli się nie mylę, pudełko zapalek. Uderzył ją w twarz; kobieta uciekła przerażona.

Kiedy odzyskałem przytomność w gabinecie Lanyona, wzruszyła mnie zapewne zgroza starego przyjaciela. Nie wiem. Była to kropla w morzu obrzydzenia, z jakim sam patrzyłem na ostatnie wypadki. Znowu nastąpiła przemiana. Torturowało mnie nie widmo szubienicy, lecz myśl okropna, że raz jeszcze mogę obrócić się w Hyde'a. Jak we śnie wysłuchałem rzuconych przez Lanyona słów potępienia, jak we śnie wróciłem do domu i nareszcie bezpieczny położyłem się do łóżka. Po udręce minionego dnia spałem głęboko, spokojnie; obudzić mnie nie zdołały nawet straszliwe koszmary. Rano ocknąłem się świeży pomimo osłabienia i roztrzęsionych nerwów. Nadal nienawidziłem, bałem się myśli o drzemiącej we mnie dzikiej bestii i oczywiście nie zapomniałem straszliwych niebezpieczeństw dnia wczorajszego. Ale byłem pod własnym dachem, w domu, blisko zbawczych leków, toteż radość z powodu udanej ucieczki rozjaśniała mi duszę niby jutrzienka nadziei.

Po śniadaniu, gdy szedłem z wolna przez podwórze i z rozkoszą wdychałem świeże, chłodne powietrze, odczułem nagle nieopisane męki towarzyszące procesom przemiany. Ledwie zdążyłem umknąć do gabinetu, rozszalały się we mnie okrutne pasje Hyde'a. Tym razem dopiero zdwojona dawka leku przywróciła mi postać doktora Jekylla, lecz — niestety! — po sześciu godzinach, kiedy siedziałem smutno zapatrzony w ogień, bóle wróciły i ponownie musiałem odwołać się do cudownego środka. Krótko mówiąc, od tego fatalnego dnia mogłem być Jekylliem tylko dzięki nieustannemu napięciu woli i pod bezpośrednim działaniem mikstury. Coraz częściej o każdej porze dnia lub nocy wstrząsały mną złowróżbne dreszcze, a co gorsza, ilekroć bodaj na moment

zdrzemnąłem się albo usnąłem w fotelu, budziłem się w osobie Hyde'a. Pod groźbą ustawicznie wiszącej nade mną zguby dobrowolnie skazałem się na bezsenność i czuwałem dłużej, niż znieść potrafi normalny człowiek. Dzięki temu choć jestem dziś sobą, stałem się istotą zzartą i wyczerpaną przez gorączkę. Jestem chory na ciele i umyśle, bezwolny, pochłonięty jedną tylko myślą: strachem przed swoją drugą naturą. Kiedy jednak zasypiałem lub zbawczy lek przestawał działać, następowała przemiana, i to niemal bez uprzedzenia, gdyż bóle słaby, zanikały z dnia na dzień. Wyobraźnia zaczynała malować mrozące krew w żyłach obrazy, w duszy kipiała bezprzedmiotowa nienawiść, ciało zdawało się zbyt małe i wątłe, by pomieścić rozszalałe namiętności i bujną energię życiową. Siły Hyde'a jak gdyby rosły wraz ze słabością Jekylla; ale dzieląca ich nienawiść była obecnie jednakowa, u obydwu równa. W Jekyllu nienawiść zrodził instynkt życia. Doktor w pełni teraz oceniał nieludzkość tworu, z którym dzielił część świadomości i ramię w ramię kroczył ku śmierci. Tyle ich łączyło, stanowiąc zarazem najboleśniejsze źródło jego rozpacz i udręki. Ponadto Jekyll nie brał pod uwagę zdumiewających sił żywotnych swego drugiego wcielenia i traktował je jak coś nie tylko piekielnego, lecz niematerialnego. Potwornością wydawało mu się, iż drobina plugawego błota mówi i wydaje okrzyki, proch i pył rusza się grzeszy, coś martwego, pozbawionego kształtu przywłaszcza sobie oznaki życia. Potwornością wydawało mu się, iż ta ohyda jest z nim związana bardziej nierozzerwalnie niż żona, niż własne oko, bo drzemie w jego ciele i nieustannie wyrывa się na świat, a w chwilach snu i słabości rodzi się i jego samego spycha poza granice życia. Nienawiść Hyde'a do Jekylla inny miała charakter. Obawa przed szubienicą zmuszała go raz po raz do chwilowego samobójstwa, kiedy to schodził do podrzędnej roli i stawał się częstką zamiast osoby. Ale Hyde brzydził się tą koniecznością, raniła go niechęć, z jaką był traktowany, brzydził się upadkiem i niedolą Jekylla. Dlatego płał mi często małpko złośliwe figle. Moim charakterem pisma gryzmolił bluźnierstwa na marginesach książek, palił ważne listy, a kiedyś nawet zniszczył portret mojego ojca. Jestem przekonany, że gdyby nie strach przed śmiercią, zabiłby się już dawno, aby i mnie pociągnąć za sobą w otchłań. Ale on kocha życie i dobrowolnie nigdy się z nim nie rozstanie. Miłość ta jest tak zdumiewająca, że nawet ja, w którym każda myśl o tym drugim wcieleniu budzi wstręt i dreszcz grozy, niemal lituję się nad Hyde'em, gdy uprzytomnię sobie jego beznadziejny, potworny lęk, iż moje samobójstwo będzie i jego kresem.

Przedłużanie mojej spowiedzi jest bezcelowe i z braku czasu niemożliwe. Starczy powiedzieć, że jak świat światem nikt nie wycierpiał podobnych tortur. Ale nawet w najgorszej męce przyzwyczajenie daje nie ulgę wprawdzie, lecz chociaż paraliż duszy czy jakieś drętwe znieczulenie na boleść. Toteż moja pokuta mogłaby trwać lata, gdyby nie katastrofa, która na zawsze odcina mnie od mojej postaci i natury. Kilka dni temu spostrzegłem, że wyczerpują się zapasy proszku nie uzupełniane od dnia pierwszego ryzykownego doświadczenia. Posłałem do apteki po tę samą sól i przyrządziłem medykament. Mieszanka zaczęła musować i po raz pierwszy zmieniła barwę. Daremnie jednak czekałem na drugą zmianę. Wreszcie wypilem lek i nie odczułem żadnych skutków. Uttersonie, dowiesz się od Poole'a, jak rozpaczliwie i na próżno przetrząsałem cały Londyn. Wszystko zdaje się wskazywać, że zakupiona przeze mnie pierwsza partia była zanieczyszczona i cudowny kordiał zawdzięczał skuteczność właśnie tej nieznannej domieszce.

Na daremnych poszukiwaniach minął mniej więcej tydzień. Obecnie zaś kończę spowiedź pod wpływem ostatniego ze starych proszków. Jeżeli zatem nie nastąpi cud, Henryk Jekyll po raz ostatni snuje własne myśli i ogląda w lustrze własne odbicie — jakże straszliwie odmienione. Nie wolno mi zwlekać z postawieniem ostatniej kropki, bo moja spowiedź uniknęła zniszczenia tylko dzięki wielkiej przezorności i jeszcze większemu szczęściu. Gdyby męki przemiany zaskoczyły mnie w trakcie pisania, Edward Hyde poszarpałby te kartki na strzępy. Jeżeli jednak po odłożeniu ich na bok upłynie pewien czas, bezprzykładny egotyzm mojego drugiego wcielenia, które żyje wyłącznie chwilą bieżącą, winien ocalić tę spowiedź przed furją iście małpiej złośliwości.

Zauważyłem, iż nieuchronny los zagrażający nam obydwu odmienił i załamał nawet jego.

Wiem, że za pół godziny, kiedy po raz ostatni wcielę się w zniechęconą postać, będę drżał i płakał skulony w fotelu albo rozpocznę spacer po tym gabinecie (ostatnim moim schronieniu na ziemi) i ustawicznie chodząc tam i z powrotem będę wycęzał słuch i łowił wszelkie złowrózby szmery. Czy Edward Hyde zginie na szubienicy? Czy zbierze odwagę i wyzwoli się w ostatniej chwili? Nie wiem i nie dbam o to. Wybiła już prawdziwa godzina śmierci, a co nastąpi później, nie mnie obchodzi, lecz tamtego.

Oto koniec mojej spowiedzi. Za chwilę odłożę pióro i zapieczęuję kopertę. Wówczas nieszczęsny Henryk Jekyll na wieki pożegna się z tym światem.

K O N I E C

Posłowie

W pogoni za ideałem – metą będzie śmierć. Doktor Jekyll i... ten drugi...

„Być może istota godności człowieka tkwi
w jego zdolności do gardzenia samym sobą.”

George Santayana

Historia Henryka Jekylla i Edwarda Hyde'a, z której płyną uniwersalne wnioski na temat natury ludzkiej pozornie tylko jest historią o metamorfozie człowieka w potwora; „udaje” tylko nowelę z pogranicza fantastyki i grozy. Mimo całego naturalizmu, przekonujących szczegółów i precyzyjnej intrygi jest raczej podobna do nasyconej symbolami baśni kierującej nas w stronę biblijnej opowieści o zerwaniu zakazanego owocu¹. W łacinie słowo „malum” oznacza zarówno „jabłko” jak i „zło”, a więc człowiek stał się dwoisty i skłócony wewnątrz w momencie, kiedy (dosłownie i w przenośni) zapragnął sięgnąć po zło. Sam dla siebie uczynił piekło we własnym wnętrzu i skazał się na nieustanną walkę z samym sobą. „Przekleństwo ludzkości polega więc na tym, że dwie sprzeczne natury są ze sobą na wieki związane, że w otchłani dręczonego sumienia muszą toczyć tragiczne, nie kończące się boje.”² Ale być może nie tylko człowiek jest winien takiego stanu rzeczy, może Bóg także ponosi część odpowiedzialności? Ewa w *Pamiętnikach Adama i Ewy* pisze: „Ponieważ czuję się właśnie jak eksperyment (...), dochodzę do przekonania, że jestem tylko eksperymentem i niczym więcej. A jeśli jestem eksperymentem, to czy jedynym? Nie, sądzę, że nie, gdyż cała reszta świata jest jego częścią.”³ Jeśli zatem cały świat jest zabawą Wielkiego Eksperymentatora, to w takim razie obiekt eksperymentu, czyli człowiek, niesłusznie chyba czuje się winny? To, co się stało, mogło przecież być jedynie udowodnieniem wcześniej założonej tezy. Bóg zapewne wiedział, że Jego „przypuszczenia” się potwierdzą, ale był ciekaw jak dalej potoczą się losy puszczanej przez Niego w ruch maszyny świata. Wynika z tego zabawna konkluzja, że początkiem wszystkiego na ziemi jest ciekawość, która okazuje się być cechą wspólną Stwórcy i ludzi, z tą tylko różnicą, że Boga, w przeciwieństwie do człowieka, nikt nie ukarze za Jego dociekliwość poznawczą.

Ale powróćmy do noweli Stevensona. Otóż wydaje mi się, że chemiczne doświadczenia Jekylla to tylko pewna maska, przebranie literackie, choć nie przeczę, że efektowne. To nieprawda, że trzeba się uciekać aż do skomplikowanych, laboratoryjnych metod, aby dotrzeć do istoty zła. Człowiek nie musi doznawać metamorfozy ani zmieniać fizycznej postaci, bo zło istnieje w nim od momentu jego narodzin. Tylko on nie chce tego przyjąć do wiadomości. Zło jest integralną częścią

¹ Ewa zrywając owoc przeciwstawiła się Bogu, ale co tak naprawdę było jej motywacją? Opór przeciw zakazom, brak pokory czy też zwykła „babska” ciekawość? I dlaczego to ona, a nie Adam? Okazuje się, że dwójka ma charakter żeński i dlatego diabeł kusi najpierw kobietę, „wiedział bowiem, (...) że Ewa została oddzielona od swego małżonka, jak naturalna dwójka od jedności” (C. G. Jung: *Psychologia a religia*. Tłum. J. Prokopiuk. Warszawa 1970, s. 202). Wynikałoby z tego zatem, że Ewa została niejako „zaprogramowana” przez kolejność stworzenia, bowiem zrywając owoc upomniała się tylko o przypisany jej z góry dualizm, który wszak był jedynie potencjalny, aż do momentu, kiedy poświadczyla jego istnienie czynem. Jak pisze Białoszewski: „w rozróżnieniu zaczyna się grzech”, a Ewa będąc stworzona jako druga, stanowiła przeciwieństwo mężczyzny. Adam nie miał z nikim porównania, bo był jedynym człowiekiem, był jednią bez przeciwieństw. Ewa zaś stała się rozróżnieniem i kontrastem dla niego, jednak jego pierwotnym stanem była jedność. Dla Ewy – przeciwnie – pierwotnym stanem była dwubiegunowość, ponieważ była czymś różnym od Adama, który był jej przeciwieństwem.

² R. L. Stevenson: *Doktor Jekyll i pan Hyde*. Tłum. T. J. Dehnel. Warszawa 1985, s. 47.

³ M. Twain: *Pamiętniki Adama i Ewy*. Tłum. T. Truszkowska. Wrocław 1993, s. 31.

jego osobowości i nigdy nie uda mu się go pozbyć, ale tylko od niego samego zależy, w jakim stopniu pozwoli się swej ciemnej stronie rozwinąć.⁴ Jekyll i Hyde to przecież ta sama osoba. To ludzka osoba, która jak każdy z nas, ze strachu przed ostracyzmem otoczenia udaje całkowicie normalną i ukrywa skrzętnie wszystkie swoje dziwactwa, dzięki którym odstaje od normy zachowań ustalonych w społeczeństwie. Może więc właśnie ta presja była jednym z powodów szukania ratunku w chemii, aby raz na zawsze ujednoczyć swój dwuznaczny wizerunek. Pomimo, iż bohater doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że zamierza zniszczyć to, co jest w nim n a t u r a l n e: „*Chociaż niewątpliwie dwulicowy, nie byłem obłudnikiem. Obie moje połowy postępowały najzupełniej szczerze. Byłem sobą, gdy zerwawszy tamy nurzałem się w brudzie. Byłem sobą, gdy w jasnym świetle dnia pracowałem nad postęпами nauki lub niosłem ulgę cierpieniom i nędzy.*”⁵ I znów posłużę się dygresją: główny bohater *Gorzkich godów* (znakomitej powieści sfilmowanej – choć z dużymi zmianami przez R. Polańskiego) Didier wyznaje, jak szczególne miał motywacje, aby uprzykrzać życie Rebecce: „*Nigdy nie umiałem żyć bez dokuczania komuś, przyjacielowi, krewnemu czy kochance – potrzeba mi ofiary jak lokomotywie węgla – i uczyniłem z tej gorejącej i prawej duszy coś na kształt filii swego własnego ja. (...) Wybrałem zło dla wygody, żeby być kimś, coś znaczyć. Mając duszę pyszałka, chciałem posiadać absolutnie wszystkie przywary. Człowiek wyobraża sobie, że ludzie źli to potwory, wciąż zajmujące się tylko czynieniem zła. Ale nie, są to przecież całkiem zwyczajne istoty, przykładni ojcowie, dobrzy pracownicy, którym widok słabości sąsiada uzmysławia nagle pełną skalę możliwości zadawania mu tortur.*”⁶ Złe impulsy przynależą zatem do naszej normalności, ponieważ człowiek nigdy nie jest wyłącznie zły czy wyłącznie dobry; dobro i zło są w nim wymieszane, niczym w płynnej miksturze (!): altruizm i egoizm, tworzenie i niszczenie, eros i tanatos (teza Freuda o ludzkiej skłonności do autodestrukcji). W takiej postaci istota ludzka przypomina palimpsest, czyli odzyskany pergamin: pragnie ukryć swe błędy i grzechy, wstydi się ich, ale one po pewnym czasie zaczynają prześwitywać spod wierzchniej warstwy, tak jak się to dzieje ze starym tekstem pokrytym tekstem nowym. Stąd płynie wniosek, że ludzki umysł to nie tabula rasa, jak chciałby John Locke, bowiem człowiek rodzi się już z piętnem grzechu pierwotnego, czego konsekwencją jest nie tylko jego własne cierpienie i śmierć, ale również skaza w duszy, odkrycie zła i znajdowanie w nim przyjemności.

Z drugiej strony owe chemiczne doświadczenia mogą stanowić symbol nauki i cywilizacji zmierzającej w złym kierunku, postępu, który, aby uniknąć odpowiedzi na zbyt kłopotliwe pytania, zwalnia sam siebie z konieczności rozstrzygnięć etycznych; stara się działać poza moralnością, co jest przecież niemożliwe. Historia życia doktora Jekylla zawiera ważną przestrożę, która mówi o tym, że człowiek nie jest bogiem i nie jest w stanie przekroczyć pewnych granic, bo i tak nie zmieni swej wielopoziomowej struktury, a może jedynie zapłacić słońco za to, iż ośmielił się ingerować w zastany ład świata. Paul Ricoeur w *Symbolice zła* – klasyfikując mity na temat powstania zła – objaśnia nam, na czym ów ład świata się opiera: „*1. Na początku było zło – istność z natury negatywna, chaos. Ze złem tym walczył Bóg – stwórca porządku, czyli dobra. Kult, czyli wyznawanie boskiej przyczyny świata jest obrzędowym powtórzeniem zmagania dobra ze złem. 2. Zło jest wynikiem upadku, kiedy świat był stworzony i uporządkowany, a człowiek dokonał jednorazowo aktu destrukcji, opowiedzenia się za złem. Zachodzą tu dwie możliwości: albo upadek nastąpił za sprawą przyczyny zewnętrznej, jakiejś namowy, nacisku itp., albo też przyczyna upadku, czyli zła, tkwiła w człowieku. (...) 3. Tragizm zła leży w tym, że winy nie popełnia się, nie wybiera się zła, lecz jest się po prostu od początku winnym – ponieważ każdy wybór, każdy czyn nosi w sobie jądro*

⁴ W tym miejscu przypomina mi się znany wiersz W. Szymborskiej *Pierwsza fotografia Hitlera*, który przedstawia tytułowego bohatera jako rozkosznego bobasa w pieluchach i opisuje radość rodziców z powodu jego przyścia na świat, którzy snują marzenia o jego przyszłości. Co sprawiło, że stał się tym, kim był? Własny, świadomy wybór czy przeznaczenie?

⁵ R. L. Stevenson: op. cit., s. 46.

⁶ P. Bruckner: *Gorzkie gody*. Tłum. W. Gilewski. Warszawa 1995, s. 184.

zła. Wydaje się, że na tym właśnie micie judajskim oparta jest Kafkowska koncepcja niezawinionego grzechu, odwiecznej winy, która musi z konieczności ontycznej doprowadzić do upadku, katastrofy, śmierci będącej karą za za niepopelnione winy, za zło, którego się nie zna. 4. Mit wygnania, alienacji, wywodzący się z dwoistej natury człowieka: to dusza jest wygnana, a triumfuje ciało – zło⁷. Lecz i ciało oddala się od duszy i pozostaje osamotnione, zgubione, niezrozumiałe, niepotrzebne. Potępiona dusza błąka się bez celu, bez sensu, a ciało pozbawione duszy gnije, jak wszystko, co złe, co skazane na potępienie i unicestwienie.”⁸ Dlatego człowiek czuje podświadomie, że ma niejako przypisany obowiązek walki z samym sobą przez całe swe krótkie i bolesne życie. Bez względu na to, czy Henryk Jekyll kierował się w swoim postępowaniu zwykłym wygodnictwem moralnym czy też pragnieniem bycia idealnym (a zakładam to drugie), to wybrał wyjście niebezpieczne i nie do końca słusznie uzasadnione. Błędem była już sama chęć wykreślenia z siebie zła, wyplenienia go i pozbycia się jego konsekwencji, ponieważ „człowiek to nie jedna, ale dwie istoty. (...) człowiek jest zbiorowiskiem wielu niezależnych, samodzielnych bytów.”⁹ Jekyll sądził, że uda mu się rozdzielić swoje dwie połowy (dobrą i złą) i żyć jednocześnie w dwu postaciach, a dzięki temu uniknąć męczącego miotania się we własnym wnętrzu i dokonywania nieustannych wyborów. Tymczasem to właśnie byłoby przekleństwem dla ludzkości, nie walka w ludzkim wnętrzu dwóch przeciwstawnych żywiołów, ale właśnie ich rozdzielenie, gdyż wówczas człowiek nie miałby już przed sobą żadnych granic, żadnych hamulców. Nie akceptując wysiłku w zmaganiu się z mniejszymi lub większymi pokusami czy krótkowzrocznymi i egoistycznymi popędami, Henryk Jekyll chciał zaprzeczyć całemu sensowi życia narzuconemu i zapoczątkowanemu przez stwórcę. Bóg zaczął opanowywać chaos w świecie zewnętrznym, który był pochodną zła, a potem przrzucił tę zaszczytną powinność na nas, ludzi, abyśmy opanowywali chaos, jaki panuje w nas samych. Ewa pojęła to szybko: „Czy mam zapewnioną pozycję czy też muszę czuwać i troszczyć się o nią? Raczej to drugie. Czuję instynktownie, że wyższość można osiągnąć tylko za cenę wiecznej czujności.”¹⁰ Sądzę, że nie chodziło tutaj wyłącznie o fakt konieczności zabiegania o utrzymywanie swej egzystencji, o troskę o wiecznie odnawiające się potrzeby organizmu, ale również, a może przede wszystkim, o niekończącą się czujność, aby sumienie nie popadło w leniwy letarg i aby nauczyć się niszczyć lub choćby poskramiać załączki zła tkwiące w każdym z nas. Bycie człowiekiem polega na okiełznaniu siebie i wytyczeniu sobie ścieżki, na trzymaniu siebie w ryzach zasad, które jednak nie powinny być sztywnym, mało elastycznym gorsetem, lecz raczej pewnym kostiumem utrzymującym nasz moralny kręgosłup w równowadze i wyzwalającym w nas palącą potrzebę posiadania szacunku wobec siebie. Ponieważ człowieka od zwierzęcia różni jego zdolność do kontroli nad sobą, nad swymi instynktami, do oceny i selekcji własnych pragnień. Zwierzę nie jest w stanie zapanować i powściągnąć podstawowych popędów fizjologicznych, a istota ludzka jest zdolna w pewnych okolicznościach do poskramiania swego organizmu.

Odnosząc się do biologizmu człowieka, możemy w historii o Jekyllu i Hyde'dzie dostrzec jeszcze jeden aspekt, a mianowicie motyw piekła ludzkiego ciała, który jednak należy przedstawić z dwóch perspektyw. Z jednej strony Jekyll nie potrafił się pogodzić z istnieniem złej części swej duszy, odcinał się od niej jak od czegoś obcego: „Piszę wciąż „on”, bo na „ja” nie potrafię się

⁷ Tutaj oczywiście William Blake zaprotestowałby. Wszak w *Zaślubinach Nieba i Piekła* pisze on, że nieprawdą jest, iż „Energia zwana złem, z Ciała jest jedynie; i że Rozum, zwany Dobrem, jest jedynie z Duszy”, albowiem „Człowiek nie ma Ciała oddzielnego od Duszy; to bowiem, co ciałem zwiemy, jest częścią Duszy rozeznawaną przez pięć Zmysłów”. (W. Blake: *Milton.; Zaślubiny Nieba i Piekła*. Tłum. W. Juszczyk. Kraków 2001, s. 129.) Rzecz jasna Blake ma rację, a unaocznia to właśnie opowiadanie Stevensona: zło przecież bierze swój początek z duszy, a ciało jest jedynie wykonawcą jej zamiarów.

⁸ Cytuję za: M. Gołaszewska: *Fascynacja złem. Eseje z teorii wartości*. Warszawa 1994, s. 144.

⁹ R. L. Stevenson: op. cit., s. 47.

¹⁰ M. Twain: op. cit., s. 31.

zdobyć. To dziecię piekiel nie miało w sobie nic ludzkiego. Pozostały mu tylko dwa uczucia: strach i nienawiść.”¹¹ Z drugiej zaś akceptował, by nie powiedzieć – lubił, zewnętrzną, fizyczną postać Hyde'a, która wydawał mu się czymś pozytywnym przez sam fakt swojej szczerości, przez nieukrywanie natury: „... obserwując bacznie brzydotę w lustrzanej tafli, nie czułem odrazy, lecz raczej przyływ serdeczności. Przecież to byłem także ja – ludzki i naturalny. Ta twarz wydawał mi się bardziej prostym, wymownym odzwierciedleniem ducha niż targane sprzecznymi uczuciami oblicze, które dotychczas uważałem za swoje.”¹² Jednak te uczucia mocno kontrastowały ze stosunkiem, jaki do Hyde'a żywiło całe otoczenie, ludzie bali się go przecież, napawał ich wstrętem i odrazą, choć nie potrafili wyjaśnić tych nieuzasadnionych uprzedzeń: „Nazywa się Hyde. (...) Ma w sobie coś odrażającego, plugawego. Budzi żywiolową niechęć. (...) Sprawiał wrażenie pokraki, kaleki, lecz rodzaju jego kalectwa określić niepodobna. Wygląda niezwykle, inaczej niż wszyscy ludzie, jakkolwiek nie ma w sobie nic osobliwego.”¹³ Gdyby człowiek czuł bezustanne obrzydzenie do swego własnego ciała, gdyby rzeczywiście odczuwał niechęć za każdym razem, kiedy widzi swoje ciało lub dotyka go, to nie mógłby normalnie egzystować, nie byłby w stanie żyć z takim przeświadczeniem. Dlatego chociaż bywa, że odczuwamy piekło ciała, gardzimy ciałem, oceniamy je jako brzydkie czy odstręczające, to jednak znacznie częściej jest to ciało kogoś innego. W stosunku do ciała własnego często lubimy stosować coś w rodzaju ochronnego filtra, który pomaga nam kształtować wyobrażenia o sobie. Taki jest Jekyll: nienawidzi w sobie Hyde'a jako istoty złej, która napawa się czynieniem krzywd, ale nie potrafi tego samego zrobić z jego ciałem! Naturalne utożsamienie się ze swoją cielesną powłoką okazuje się zbyt silne. Odrzucenie swego wizerunku byłoby wbrew naturalnemu instynktowi, który nakazuje troszczyć się o własne ciało i zapewniać mu przetrwanie.

Na czym polega zadziwiające, nie dające się zdefiniować kalectwo Hyde'a? Nikt nie jest idealny i święty, każdy ma na sumieniu jakieś mniejsze czy większe przewinienia, słabości, których się wstydzi, skazy charakteru, z którymi próbuje walczyć, ale jednocześnie nikt nie kwapi się, aby wszem i wobec ogłaszać swe niedoskonałości, mówić o nich, przeciwnie – naturalnym odruchem jest ukrywanie ich, spychanie w głąb siebie, wypieranie (mówiąc językiem psychoanalizy). Dzięki takiemu mechanizmowi człowiek kreuje sobie na potrzeby siebie i otoczenia własny lepszy wizerunek, dokonuje retuszu na swej duszy, a nawet utożsamia się z nim często i niechętnie przypomina sobie, że pod perfekcyjnie wykonanym makijażem kryje się zwykła, posiadająca niedostatki twarz. Jednak owa zdolność do kamuflażu pomaga ludziom w ich wzajemnych relacjach, kiedy to próbują się przedstawić od jak najlepszej strony; pozwala im wzajemnie się oswajać ze swymi przykrymi wadami, które wszakże pojawiają się dopiero po jakimś czasie, kiedy to zdążymy już człowieka nieco poznać i polubić. Wydaje mi się zatem, że kalectwo Hyde'a nie było kalectwem czysto fizycznym (a przynajmniej nie tylko takim), lecz bardziej duchowym, ponieważ nie posiadał on tej szczególnej zdolności właściwej każdej ludzkiej istocie. Nie potrafił ukrywać tego, jaki był naprawdę, wręcz przeciwnie – od razu przy pierwszym spotkaniu jego rozmówca widział niejako jak na dłoni całą rozpiętość zła, jaka w nim tkwiła, cały wachlarz szpetnych przywar, które jak złośliwe potworki otaczały jego osobę niczym złowieszczą, mroczną aurą. W związku z tym wzbudzał nieuzasadnioną, lecz bardzo silną niechęć, która była właściwie jego znakiem rozpoznawczym, swoistym do nikogo niepodobnym tropem, śladem, który go zawsze zdradzał.

Vladimir Nabokov w swych *Wykładach o literaturze* pisze, że przeobrażenie Jekylla w Hyde'a nie jest przemianą w pełnym tego słowa znaczeniu: „... przemiana Jekylla nie jest kompletną metamorfozą, lecz polega na koncentracji zła, które już w nim tkwiło. Jekyll nie jest dobrem w

¹¹ R. L. Stevenson: op. cit., s. 56.

¹² Tamże: s. 49.

¹³ Tamże: s. 9.

stanie czystym, a Hyde nie jest „czystym” złem: pewne elementy odrażającego Hyde'a tkwią w Jekyllu i, podobnie, nad Hyde'em unosi się aureola sympatycznego Jekylla, przerażonego nikczemnością swej gorszej połowy. Relacje pomiędzy tymi dwoma osobnikami ilustruje dom Jekylla, który jest w połowie Jekylllem, w połowie Hyde'em.”¹⁴ Zgadza się z tym stwierdzeniem, aczkolwiek nie do końca, ponieważ nieco inaczej zinterpretowałabym osobowość jaką posiada każda z tych postaci. Nabokv pisze, że nad Hyde'e, unosi się „... osłupiała, ale dominująca pozostałość Jekylla, coś w rodzaju kółka dymu lub aureoli, jak gdyby ów ciemny ekstrakt zła wypadł z pierścienia dobra, ale sam pierścień pozostał: Hyde wciąż jeszcze chce się zmienić z powrotem w Jekylla.”¹⁵ A skoro chce się z powrotem zmienić, to Jekyll musi ciągle w nim tkwić; ale tkwić w n i m, a nie n a d nim. Według mnie Hyde nie jest czystym ekstraktem zła, lecz Jekylllem, w którym dokonano się coś na kształt zamiany miejsc: w Jekyllu właściwym dobro było na powierzchni, Jekyll był świadomy jego istnienia, zło natomiast kryło się w głębi jego osobowości, zostało zepchnięte do podświadomości i tylko czasami stawało się widoczne. Natura Hyde'a była skonstruowana dokładnie odwrotnie: to zło stało się świadomym wyborem, a dobro stało się czymś wstydliwym, niewygodnym, zepchniętym na samo dno osobowości, wypartym i pozornie zapomnianym. Nie była to zwykła zmiana proporcji, bo przemiana nie powodowała „dolania” zła do duszy Jekylla, nie zwiększała jego ilości. Było w nim tyle samo zła i dobra, co przed przemianą, tyle tylko, że zmieniła się hierarchia władzy: w osobie Hyde'a to zło było dominantą, a a dobro – tym, co zdominowane. Najdobitniej świadczy o tym scena, w której Jekyll budzi się ze snu i spostrzega, że bez własnej ingerencji zamienił się w Hyde'a: „... pięść leżąca na kołdrze (...) Była to ręka Edwarda Hyde'a. Przez dobre pół minuty patrzyłem na nią w osłupieniu, nim przerażenie zbudziło się w mej piersi i zgrzytnęło niby zdruzgotane cymbały. Wyskoczyłem z łóżka, pobiegłem do zwierciadła, a to, co w nim ujrzałem, zmroziło mi krew w żyłach. Tak! Usnął Henryk Jekyll, zbudził się Edward Hyde!”¹⁶ Kto, jeśli nie ušpiona, a chwilowo dopuszczona do głosu, świadomość Jekylla, mógł się tak zdziwić i przestraszyć widokiem siebie samego jako Hyde'a? Przecież nie Hyde! Nieprawdą więc jest, że Hyde był czystym złem (jedynie z latającym aniołem stróżem nad głową), ponieważ zawierał w s o b i e pierwiastki Jekylla, a skoro tak, to musiało gdzieś w nim tkwić także dobro. Idąc tym tropem możemy nawet dojść do wniosku, który przeczy zapewnieniom autora, jakoby Hyde zezwalał na powtórną przemianę i powrót Jekylla tylko i wyłącznie ze strachu przed szubienicą. Być może było to sumienie doktora, które walczyło ze swą gorszą połową. Tutaj przechodzimy do meritum, czyli do momentu samobójstwa bohatera. Jest to scena, która burzy cały dotychczasowy porządek powierzchownego traktowania postaci i przyklejania prostoliniowych etykietek w rodzaju: Jekyll – dobry, Hyde – zły. W swojej ostatniej spowiedzi doktor Jekyll przekonuje nas, że Hyde „... gdyby nie strach przed śmiercią, zabiłby się już dawno, aby i mnie pociągnąć za sobą w otchłań. Ale on kocha życie i dobrowolnie nigdy się z nim nie rozstanie.”¹⁷ A jednak faktem jest, że bohater sam zadaje sobie śmierć przez zażycie trucizny, z czego wynika, iż tylko Jekyll mógł dokonać aktu samounicestwienia! Ale jak wytłumaczyć kolejny fakt: adwokat i przyjaciel Jekylla Utterson oraz towarzyszący mu kamerdyner Poole po wyłamaniu drzwi do laboratorium znajdują na podłodze ciało martwego Hyde'a. „Pośrodku leżał mężczyzna drgający jeszcze i dziwacznie powykręcany. Pan Utterson i Poole zbliżyli się na palcach, odwrócili ciało na wznak i spojrzeli w twarz Edwarda Hyde'a. Miał na sobie ubranie o wiele za duże, miary doktora Jekylla. Mięśnie twarzy poruszały się, stwarzając pozór życia, lecz życie opuściło już ów kształt ludzki. Zgnieciona fiolka w dłoni i silny zapach

¹⁴ V. Nabokov: *Dziwny przypadek doktora Jekylla i pana Hyde'a*. [w tegoż:] *Wykłady o literaturze*. Tłum. Z. Batko. Warszawa 2000, s. 252.

¹⁵ Tamże.

¹⁶ R. L. Stevenson: op. cit., s. 51. Moment ten przywodzi na myśl skojarzenie z obrazem Francisco Goyi pt. *Kiedy rozum śpi, budzą się upiory*.

¹⁷ Tamże: s. 58.

gorzkich migdałów, unoszący się w powietrzu powiedziały staremu juryście, iż ogląda zwłoki samobójcy.”¹⁸ Jednocześnie wiemy, że Polle już od dłuższego czasu był zaniepokojony dziwnym zachowaniem swego pana, który zamknął się w swojej pracowni i od tygodnia z niej nie wychodził. Ograniczał się jedynie do rzucania na schody kartek z poleceniem szukania jakiegoś medykamentu. Służący jest posłuszny, ale jednocześnie nieufny; z jego słów wynika, że człowiek w gabinecie nie jest Jekylllem, ponieważ inaczej wygląda i posiada odmienny głos. Wszystko to prowadzi do stwierdzenia, iż od tygodnia nasz bohater przebywa w postaci Hyde'a i nie może się od niej uwolnić. Stąd bierze się jego rozpacz i przestrasz, a także gwałtowna chęć ukrycia się przed ludźmi. Jeżeli przyjęlibyśmy poprzednie założenie o niepełnej metamorfozie Jekylla w Hyde'a, lecz o niejako „wywróceniu” go na lewą stronę jak koszulę, to nie wyda nam się to wszystko dziwne.

Wydaje mi się, że wchodzą tu w grę dwie opcje: albo zgodnie z wcześniejszą teorią w podświadomości Hyd'a tkwi Jekyll, który w krytycznym momencie „wydostaje się na zewnątrz” i będąc wielce zdeterminowanym przez nagłą sytuację, szybko dokonuje aktu samozagłady, albo też – co jest być może jeszcze bardziej prawdopodobne – z Hyde'a pozostała tylko zewnętrzna powłoka, a w niej uwięziony miota się „normalny” już Jekyll, którego organizm, przeszedłszy początkowy szok bolesnego rozdzielania psychiki (duszy) na części, powrócił teraz do pierwotnego stanu (zdrowego Jekylla sprzed eksperymentu), ale nie zdołał wyeliminować „skutków ubocznych” leku, czyli odwrócić przemiany jednego ciała w drugie. Można tę sytuację przedstawić za pomocą metaforycznego obrazu z dwiema kostkami lodu: eksperyment rozdzielił duszę Jekylla na dwie części i zamroził jego sumienie: powstały dwie kostki lodu w jednym naczyniu, jedno ego dobre, a drugie złe, a oba na tyle silnie wyodrębnione i autonomiczne, na tyle twarde, aby móc się ze sobą boleśnie zderzać. Z czasem jednak obie kostki zaczęły się powoli rozpuszczać, aż stały się jednym, czyli powróciły do stanu pierwotnego.

Słusznie można by zarzucić, iż hipotezę tę osłabia samo zakończenie opowiadania, gdzie Jekyll pisze list pożegnalny pod wpływem, jak sam twierdzi, ostatniego ze starych (a więc dobrze działających) prosków, których jednak działanie jest coraz krótsze. W ten sposób mógł dokonać samobójstwa, gdyż wiedział, że przemieni się w Hyde'a będąc już w agonii. Ale jak wytłumaczyć słowa Poole'a, który od tygodnia nie widział ani nie słyszał (!) doktora, samą chęć przemiany w Jekylla, który wszak był coraz słabszy w przeciwieństwie do Hyde'a zyskującego z czasem na sile i pewności siebie (!) oraz opisywane wcześniej zdziwienie i przerażenie po przebudzeniu (metamorfoza podczas snu)?

Jedno, czego można być pewnym, to to, że samobójstwa dokonał Jekyll (choć być może w ciele Hyde'a, które już do niego przylgnęło). Chciałoby się rzec, iż żywiciel odebrał sobie życie, aby unicestwić pasożyta. Uśmiercając się doktor zademonstrował, że stać go na pogardę wobec siebie samego¹⁹ w przeciwieństwie do Hyde'a pragnącego żyć za wszelką cenę, a więc przywiązanego do istnienia w sposób czysto biologiczny, zwierzęcy. Jekyll przyznał się tym samym do porażki, do klęski swych idealistycznych rojeń (w dużej mierze egoistycznych) o doskonałym, perfekcyjnym człowieku, który nie zna innej ścieżki, niż ścieżka dobra i który z tego powodu nie musi się wstydić swoich grzechów, bo po prostu ich nie popełnia. Jego tragiczny koniec w dużej mierze był spowodowany słusznym przeświadczeniem, że nie może on uciec od prześladowającego go wroga, ponieważ wróg ten jest zlokalizowany w nim samym, niczym złośliwy wirus, którego nie da się wyleczyć. Samotność Jekylla była samotnością człowieka dotkniętego nałogiem dążenia do perfekcjonizmu, a zarazem kogoś, kto umiera na śmiertelną chorobę i zdaje sobie z tego sprawę. A jest to przecież ogromny ciężar dla ludzkiej psychiki.

We wspomnianych już wcześniej *Gorzkich godach* pada następujące stwierdzenie: „... tragedia spotyka ludzi nie tyle za sprawą ślepego losu, ile ich własnej niezdarności. Nieszczęście

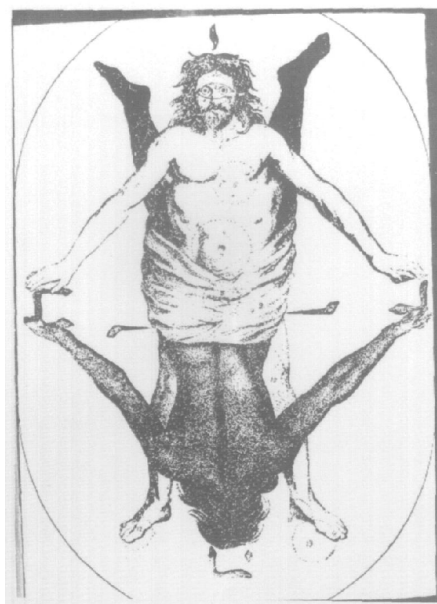
¹⁸ Tamże: s. 38.

¹⁹ Zobacz motto tego posłowania.

spotyka tego, kto popełnia gaf za gafą, całą serię gigantycznych faux pas. Nasze dramaty, nie dość, że bolesne, bywają też obłożone dodatkowym handicapem: są śmieszne. Nie możemy nawet niczego złożyć na karb fatalizmu.”²⁰ Doktor Jekyll sam własnoręcznie doprowadził się do takiego stanu, nie była to sprawa ślepego fatum. Jego historia to opowieść o ludzkiej pysze, a nie grecka tragedia, gdzie bohater jest postawiony w sytuacji, w której każde wyjście jest wyjściem złym. Już sama myśl, żeby eksperymentować z psychiką ludzką i za pomocą chemii selekcjonować z niej to, co do niej z samej istoty rzeczy przynależy, było najzuchwalszym faux pas z możliwych dla człowieka, albowiem chcieć poprawiać ludzką naturę, to chcieć poprawiać Boga...

2002r.

Anna Alochno - Janas



Rys. *Dwie natury człowieka* – dzieło anonimowe pochodzące z *Kabały* (ks. Zohar).

[Reprodukacja: O. S. Rachleff: *Okultyzm w sztuce*. Tłum. J. Korpanty, I. Liberek, Warszawa 1993]

²⁰ P. Bruckner: op. cit., s. 283.

Spis rozdziałów:

| | |
|---|----|
| Tajemnicze drzwi..... | 1 |
| Poszukiwanie pana Hyde'a | 4 |
| Doktor Jekyll jest zupełnie spokojny..... | 8 |
| Morderstwo sir Danversa Carew | 10 |
| List mordercy | 12 |
| Osobliwy przypadek doktora Lanyona | 15 |
| Pod oknem | 17 |
| Ostatnia noc | 18 |
| Zeznanie doktora Lanyona | 24 |
| Pełna spowiedź Henryka Jekylla | 28 |

| | |
|-----------------------|----|
| <i>Posłowie</i> | 38 |
|-----------------------|----|